№ 45. Warszawa, dnia 5 Listopada (24 Października) 1881 r. Rok I

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres Redakcyi i Administracyi Włodzimierska Nr. 2.

Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach, w Petersburgu w Księgarni Ungra, Plac Kazański Nr. 7.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

ULTRAMONTAŃSKA GRAWITACYA.

Rozbierając w jednym z pierwszych numerów naszego wydawnictwa stosunek pruskich polaków do niemców i szacując ich łączność z partyą środkową (centrum), wyraziliśmy zupełną niewiarę w długotrwałość i korzyści tego przymierza. Bliższe, niż nam się zdawało, fakty usprawiedliwiły słuszność tego podejrzenia. Polacy pruscy, a zwłaszcza przewodniczący innym poznańczycy, uwiedzeni wywołaną przez prawa majowe niezgodą katolików niemieckich z rządem, sprzęgli swoje sprawy i nadzieje z ich losem i taktyką, jak gdyby Warta i Ren wspólnym płynęły łożyskiem. Złudzenie to trwało lat kilka, a każdy, kto śmiał powątpiewać o jego pożytku, był nawet u nas w Królestwie uważany za potępieńca, usiłującego, nieszczęściem daremnie, sprowadzić na manowce prostą drogą idący naród. Rozlegały się też w klerykalnej prasie polsko-niemieckiej głośne całusy polityków poznańskich z drużyną Windhorsta, oba żywioły przed tronem papieża przysięgały sobie dozgonną miłość i wierność a kardynał Ledóchowski błogosławił owe przykładne śluby. Przed dwoma już laty błyskawica z ust niemieckiego Jowisza rozświeciła na chwilę ciemności polityki i pozwoliła poznańczykom dojrzeć gromadzące się nad ich głowami chmury z tej właśnie strony, z której zwyle wschodziła dla nich jutrzenka nadziei. Mianowicie na jednem z posiedzeń sejmowych ks. Bismark rzucił znaczącą uwagę, że sprawa polska popchnęła go do walki z kościołem. Uwaga ta niewątpliwie zrodziła śród ultramontanów niemieckich pytanie: czy nie korzystniej byłoby dla nich pozbyć się przyjaciół poznańskich i szląskich, oraz czy solidarności religijnej nie okupują kosztem interesów narodowościowych, germanizacyjnych? Jakoż z teutońskich łap zaczęły powoli wysuwać się pazury, które przy obecnych wyborach już widocznie zatopiły się w ciele polskiej prowincyi. Ultramontanie pruscy, popierający dawniej w Poznańskiem jedynie katolików, nietylko dopełnili swe hasło protegowaniem niemców, ale nadto wyraźnie oświadczyli się raczej za niekatolikiem niemcem, niż za katolikiem polakiem. Na całej prawie linii prasy polskiej ozwał się spóźniony alarm do odwrotu, a długoletnie śluby prysnęły w nagłym rozwodzie. Dziś już p. Windhorst nie jest Mojżeszem, wiodącym lud poznański do ziemi obiecanej, a pomału ci, którzy przepowiadali smutny koniec pobłogosławionemu przez kard. Ledóchowskiego małżeństwu, odzyskają może straconе obywatelstwo.

I gdyby tylko na poznańskiem drzewie pokazały się niszczące robaki; gorszem jest to, że z niego spadł zgniły a trujący owoc. Nasiąkły sokami pruskiego klerykalizmu książ Radziwiłł, kandydat z okręgu bytomskiego wystąpił na zebraniu niemieckich „mężów zaufania" z niewinną mówką, w której zażądał ni mniej ni więcej tylko, żeby — wyrażając się słowami pobożnej *Warty* — „Szląsk polski nie grawitał ku polskim braciom i ku polskiemu środkowi w Poznaniu, lecz żeby *politycznie* zależał od Wrocławia, resp. Berlina.... Meppen, Fuldy lub Kolonii." Podziwiać należy uprzejmość, z jaką organ poznański, wspominając o tem, cofa się od sprzeczki z księciem Radziwiłłem „o stronę prawnopolityczną, *byleby* przyrodzone narodowe prawa polaków znalazły *przy tej organizacyi* należytych obrońców." Trzeba mieć istotnie głowę odurzoną wyziewami watykańskiej pieczary a serce odżywiane krwią teutońsko-ultramontańską, ażeby przenieść polityczny punkt ciężkości polaków szląskich do Meppen i Fuldy lub wierzyć, że „przy tej organizacyi" znajdą oni „należytych obrońców." Świad klerykalny zaczadził zupełnie rozumy lichych obrońców narodowości polskiej w Poznańskiem, jeśli oni mogą publicznie kreślić dla niej takie prawa „grawitacyi." Oto rezultat polityki na ultramontańskich krosnach utkanej! Wobec niego szyderstwo ustępuje miejsca głębokiemu smutkowi, nie możemy się śmiać, lecz musimy boleć nad ślepotą, tem okropniejszą, że niepoprawną. Zamiast Radziwiłłom, adresującym swój patryotyzm do Fuldy i Kolonii, odebrać wszelką możność wciągania narodu w germańską otchłań, sfanatyzowane pisma poznańskie spodziewają się jeszcze od nich usług obywatelskich — „zniewolenia (!) naczelnych kierowników partyi *centrum* do tego, żeby zaprzestali (!) takich krzyżackich zagonów w ziemie polskie." Gdzie rozum się podział, gdy te słowa z pod pióra dziennikarskiego wybiegały? Apostołowie „grawitacyi" szląskiej do Berlina mają „zniewolić" krzyżaków do zrzeczenia się zagonów na ziemiach polskich! Zaiste, na to pośrednictwo wiele liczyć można!

Jeżeli przy dotychczasowym stosunku stronnictw w sejmie niemieckim, w którym *środek* przeważał wahające się szale, związek z tą zakapturzoną obłudnie partyą krył dla poznańczyków poważne niebezpieczeństwo, to obecna przemiana układu żywiołów politycznych, wzmacniająca siłę postępowych, potęguje obawy i oderwać winna sympatye polskie od dawnego przymierza. Wiemy dobrze, iż najwięcej ucisku zawdzięcza Poznańskie tak zwanym narodowym liberałom; nie pragniemy go też wcale związać z tą nikczemną, przez pana swego i naród pogardzoną, a dziś w nowych wyborach mocno przetrzebioną czeladzią ks. Bismarka. W sejmie niemieckim wszakże istnieje kilka szczerze wolnomyślnych, uczciwych i cudzą krzywdą niezyją-

cych grup (postępowcy, secesyoniści, partya ludowa), które razem tworzą dość liczny zastęp i które przeważnie będą umiały uszanować prawa narodowości poznańskiej. W tę więc stronę Koło polskie zwrócić się powinno, jeżeli pomocy potrzebować będzie, nigdy zaś do obłudnych krzyżaków, niszczących cywilizacyjnie a w razie możności i politycznie.

Nie łudzimy się skutecznością tej rady. Koło polskie w Berlinie zbyt jest seminaryjnym duchem dawnych, długoletnich stosunków przejęte, ażeby zdołało zmienić odrazu swą politykę a przynajmniej wyrzec się dawnych sprzymierzeńców i tej nieszczęsnej „grawitacyi," która punkt ciężkości życia narodu przenosi daleko po za jego granice. Księża Radziwiłłowie tak łatwo wpływu swego nie tracą, bo wynaturzeniem się swojem nie rażą tak braci naszych pod panowaniem pruskiem, jakby razić powinni.

Niedawno czytaliśmy zapewnienie, że ziemię niemcy polakom ciągle po kawałku odłamują, ale duch mężnie odpiera wszystkie ich natarcia. Gdyby dowodem tego być miało wystąpienie księdza Radziwiłła, możnaby przypuścić, że jeszcze mniej ultramontanom poznańskim zostało ducha niż ziemi. Przypuszczamy jednak, że ten żywioł nie sam wypełnia prowincye polskie w Prusach i że skutecznie przeciwważą go inne, ciążące nie do Fuldy i Meppen, ale do Poznania, wreszcie do innych ognisk naszego plemienia.

RESZTA SEJMU LWOWSKIEGO.

Los był nieubłagany dla Galicyi: nietylko dał jej odrobinę ludzi wolnomyślnych, ale jeszcze tym ludziom odrobinę rozumu politycznego. Zręczność, przebiegłość, plan działania, odwagę i umiejętność zwierania szeregów posiadają tam niemal wyłącznie stańczycy: nic też dziwnego, że oni zdobywają teki ministeryalne i mandaty poselskie, oni wreszcie nadają kierunek obradom sejmu lwowskiego. Co on podczas ostatniej kadencyi chciał zrobić — pomijamy, co zrobił — obliczmy.

Po długiem wzajemnem odejmowaniu od siebie projektów stańczykowskich, postępowych, „ateńskich," rusińskich, podolskich, wreszcie zatamowaniu słowotoków z ust pp. Abrahamowicza i Wolańskiego, otrzymano następującą resztę:

1) Rząd przedstawił sejmowi wniosek ograniczenia samodzielności gminy w sprawach policyi miejscowej, postawienia na czele rad powiatowych dzisiejszych starostów oraz połączenia wydziału krajowego z namiestnictwem. Na żądanie to, skierowane do przesunięcia autonomii władz z dołu ku górze, poseł Grocholski wraz ze swą grupą (postępową) radził odpowiedzieć, że dopóki sejm nie będzie miał mocy orzekania w sprawach administracyi krajowej, dopóty i tej kwestyi załatwić nie może, albo raczej nie chce. Stańczycy jednak, którzy z zasady są przeciwnikami odpowiedzi przeczących, dopełnili tę uchwałę projekcikiem pożądanej reformy administracyjnej. I byłby stańczykowski korab, którego Noe, L. Wodzicki, otrzymał z dzióbka kompromisowej gołębicy gałązkę oliwną, osiadł na stałym lądzie, gdyby nagle niesfornością języka nie popsuł przedsięwzięcia jeden z gatunków krakowskiej arki — poseł Zatorski. Broniąc swoje stronnictwo, tak nieopatrznie wyspowiadał się z jego ukrytych myśli, tak szczerze wyraził chęć zniesienia samorządu i wzbogacenia jego prawami namiestnictwa oraz korony, że już pozyskana większość sejmu, przerażona myślą utraty tak świeżych dobrodziejstw autonomicznych, cofnęła się w popłochu od stańczykowskiego projektu i pozostała jedynie przy odpowiedzi przeczącej. P. Zatorski, któremu „przyjaciele polityczni" zaraz na miejscu porażki dali ostre napomnienie, będzie zapewnie ostrożniejszym, ale tymczasem reforma zawisła na kołku.

2) Istotnym i poważnym wynikiem obrad sejmowych było uchwalenie banku krajowego, mimo opozycyi p. Wolańskiego, który zamiast tej instytucyi proponował udzielenie ekonomicznym potrzebom kraju 1 miliona rubli jednorazowej gratyfikacyi, p. Abrahamowicza, który chciał kredyt — ową „chorobę naszego wieku" — utopić w swej wielomówności, oraz p. Dobrjańskiego, który, jako poseł rusiński, tem usiłował dowieść miłości dla swego ludu, że jako dyrektor banku kałoszyńskiego, pobierającego 10—12%, głosował przeciw instytucyi pomyślanej przez polaków, która ma pobierać tylko 4—5%. Bank krajowy ma być wielką dźwignią kredytową, ma udzielać kredytu hypotecznego do połowy szacunku własności gruntowej i budowlanej, zasilać kasy gminne, popierać przedsiębiorstwa przemysłowe, wspomagać funduszami rozmaite stowarzyszenia, dokonywać konwersyj wysoko oprocentowanych długów i t. d. Naturalnie dobrodziejstwa podobnej instytucyi spłynąć winny przedewszystkiem na lud i również naturalnie musieli się temu sprzeciwić prawowici galicyanie. Niektórzy ze stańczyków a głównie „ateńczycy," mianujący się dość zabawnie „klubem ekonomistów," usiłowali minimum realności, uprawnionej do otrzymania kredytu, podnieść do 1,000 złr., minimum zaś pożyczek do 200 złr. Szczęściem, humanitarne to usiłowanie nie osiągnęło celu, gdyż najniższą normę pożyczki sprowadzono do 100 złr. i panowie „ateńczycy" stracili sposobność usprawiedliwienia swego zbyt zaszczytnego tytułu.

3) Jeżeli przy poprzednich pozycyach zwycięstwo stańczyków było wątpliwe lub przez błędy niekarnych szermierzy stronnictwa udaremnione, zato pod dowództwem p. Popiela odniosło ono zupełny tryumf na polu szkolnem. Dbały ten o krzewienie ultramontańskich sadzonek poseł wystąpił z wnioskiem założenia bursy dla uczniów lwowskiego seminaryum pedagogicznego, na co kraj ma ofiarować 20,000 zł. rocznie. Niema między naszymi czytelnikami tak łatwowiernego, któryby się nie domyślił, że owa bursa będzie nową filią propagandy klerykalnej. Przy rozprawach nad tym przedmiotem obnażył się dostatecznie stańczykowski plan wychowania szkolnego, w którym dla nauczyciela jest miejsca mało, ale dla księdza bardzo dużo. Jakkolwiek do składki powołany będzie cały kraj, żydzi — rzecz prosta — zostali z bursy wyłączeni. Słusznie przeciwko temu ograniczeniu zaprotestowali posłowie

---

[5])

Z mojego pamiętnika.

L. Börnego.

W dniu rocznicy pod Lipskiem przejeżdżałem przez Szampanię. Dzień 18 października obchodzą teraz w Niemczech tylko wolne miasta. Dzieje się to dlatego, żeby uwiadomić *franco* kupców londyńskich, że ich interesy dobrze stoją, i przypomnieć raz na rok dostojnym sprzymierzonym ich przyrzeczenia. Był to czas zbioru winobrania; młode dziewczęta rzucały kosze pełne jagód do karety pocztowej spodziewając się, że im za nie wyrzucimy pieniądze. Kupiłem wielki zapas, a jedząc zapomniałem, kiedy przybyłem przed rogatki Paryża.

Tegoż poranku widziałem u stoku lesistego pagórka młodą żebraczkę, siedzącą pod cieniem dębu; na plecach niosła w torbie żebraczej złotowłosego chłopca. Dziecię to stanowiło jej jedyny pakunek. Chłopak był pewnie od urodzenia nie myty — lecz z po za ciemnych chmur jego twarzyczki błyszczały porpurowe usteczka. Promienie słoneczne ogrzewały go, jak gdyby były jego matką, a on królewskiem dzieckiem. One go wykarmiły i wyrósł silny. Trawa i drzewa schylały się przed nim, leśne ptaszki — te szeptające dworaki — świergotały około niego, a łagodny wietrzyk schlebiał jego fantazyjnym loczkom. O jak szczęśliwem jest to dziecię! pomyślałem. Bez troski, noszone przez niestroskaną również matkę od wsi do wsi, z pola na pole, z lasku do lasku! Ono nie ma nic do stracenia; życie jego to gra w loteryę bez stawki, a jeśli jego numer wyjdzie, musi wygrać! Może powiesz go kiedy — alež to nie powiększa kłopotów. lecz je usuwa. Jakżeż nudnem natomiast i niesmacznem jest być dzieckiem zacnych rodziców, ana wet być poczciwym człowiekiem i mieć dobre dochody. Głupie z nas osły: zamiast swobodnie żerować tam, gdzie łąka zielenieje — obładowani cudzem zbożem dźwigamy je bogatemu młynarzowi *Śmierci*, który dla łaskawego pana *Robaka* to zboże miele i przesiewa. Wszystko posiadł, kto nic nie ma; kto wiele posiada, ten zawsze ma mało. Niech żyje łajdactwo! niech żyje po raz drugi i trzeci!

Takich samych uczuć, jakich doświadczyłem na widok szczęśliwej, niczem nieobarczonej włóczęgi — doznałem również, gdym wjeżdżał swobodny, bez żadnych pakunków do Paryża. Rzucony na fale tego wiecznymi wiatrami poruszanego, burzliwego morza, płynąłem śmiało, jak gdybym się zrodził w tym żywiole; wiedziałem bowiem, że jestem gatunkowo lżejszy. Na trzech francuskich rogatkach celnych, które dumą napełniły me serce, gdyż przypomniały mi odrzymą powódź celną w mej lubej ojczyźnie, rzucano z karetki pocztowej na ziemię wśród dżdżystej pory kufry, pakunki, zawiniątka bogatszych podróżnych; otwierano, przeszukiwano, a biedni bogaci pasażerowie musieli wszystko sami porządkować i nieustannie troszczyć się, by co nie wypadło i nie zginęło. Jeczeli jak na torturach, aż litość brała! Ja na wszystko to patrzyłem przez okno hotelu z uśmiechem, zacierając ręce uradowany — i jako nieograniczony władca czasu używałem go już to pożytecznie, ćwicząc się w języku francuskim przez rozmowę z pocztylionami, już to przyjemnie, próbując krajowych win, już to pożytecznie i przyjemnie zarazem—drzemiąc w przestankach.

Dopiero na poczcie paryskiej zadowolenie moje a również kłopoty moich towarzyszy wzmogły się znacznie. Byli to bądź mieszkańcy prowincyi, bądź cudzoziemcy, przyjeżdżający podobnie jak i ja po raz pierwszy do Paryża, którzy nie umieli sobie radzić. Pakunki ich wleczono do izby celnej, gdzie panowało nadzwyczajne zamięszanie; po rewizyi kufrów, brali je posługacze na barki i nie zważając na krzyki biegnących za nimi właścicielów, nieśli gdzie im się podobało. Tylko ja jeden chodziłem po podwórzu spokojnie, zimno, jak stary konduktor, i wykrzykiwałem: Niech żyje demokracya! Niech żyje policya! Niech żyje hultajstwo! Przybyłem około dziesiątej godziny rano, a dopiero o czwartej zacząłem myśleć o mieszkaniu. Nie miałem żadnych przyjaciół, znajomych,

mojżeszowego wyznania, którzy zawsze w podobnych wypadkach posiadać będą niezwyciężony argument, że sami chrześcianie przykładają się do utrzymania w ciemnocie izraelitów galicyjskich, że więc przyjąć muszą na siebie część odpowiedzialności za jej owoce. Dziwnie od tej uchwały, zastrzegającej wyznaniowość w internacie, odbijał przekazany lepszym czasom projekt posła Merunowicza, który domaga się rewizyi praw i zniesienia przywilejów żydowskich w Galicyi. Jakże sejm przeprowadzi taką uchwałę w zasadzie, jeżeli w szczegółowym wypadku sam ją unieważnia? Jeżeli chrześcianom dano przywilej posiadania swoich konwiktów, to niepodobna żydom odmówić prawa posiadania swoich chederów? Trudno, bardzo trudno nam przełknąć najmniejszą pigułkę swobody i tolerancyi!...

Potrącono w sejmie również chroniczną sprawę wydziału lekarskiego na uniwersytecie lwowskim; nie wzbudziła ona jednak dostatecznego zapału. Wogólności wszystko, co dotyczy nauki, nie trafia zbyt do przekonania ojców Galicyi. Prof. Szujski może jeszcze zaproponować zmniejszenie 6 lat obowiązkowego uczęszania do szkoły do 4, ale na wszelkie podwyżki w oświacie nikt się nie odważy. To też rozumiemy zupełnie delegatów polskich, którzy już raz zerwali w Wiedniu łeb hydrze wydziału lekarskiego we Lwowie. To jest prawdziwie po galicyjsku. Kto pamięta poświęcenie, z jakiem posłowie polscy bronili podatku od dzienników, ten dziwić się nie będzie ich postępowaniu w tej sprawie.

Po odjęciu zatem czczych waśni i ultramontańskich zwycięstw, jakaż nam z obrad sejmowych obecnej kadencyi pozostaje poważna reszta? Bank krajowy.

No, dobre i tyle, bo czasem trzeba się zadawalniać krasomówczymi popisami panów podolskich.

Z. W.

ZA TANIE PIENIĄDZE.

Chociażbyśmy byli zgóry przekonani, że słowa nasze przebrzmią bez odgłosu, dotkniemy sprawy, która po za obrębem uwagi społeczeństwa marnieć niepowinna i która, co najmniej, na ciągłą jego baczność zasługuje.

Że nasze szkoły średnie są bardzo dalekie od zadośćuczynienia najskromniejszym nawet wymaganiom — o tem wiemy dobrze wszyscy. Oswoiliśmy się już nawet z tym faktem, nie przeraża on nas, czasem tylko martwi. W rozumnych też towarzystwach dają się słyszeć równie częste i głośne narzekania na stan szkół, jak w prasie hymny uwielbień dla tenorów i aktorek. Że instytucye te dawniej nie były lepsze, wie każdy, kto sięgnie myślą w przeszłość i przypomni sobie własnych, szacunku godnych nauczycieli. Obok takich kilku, nielicznych zazwyczaj postaci grupuje się cała falanga ludzi, niemających zgoła żadnego ani o nauce, ani o pedagogii pojęcia, prowadzących wykłady za pomocą naznaczania paznokciem „odtąd — dotąd“ i utrzymujących ład i spokój w klasie przez wymierzanie kar cielesnych. Dziś stan ten o tyle się przynajmniej polepszył, że owe kary wykluczyła ustawa, a wykład „paznokciowy“ zmienia się kolejno z ustnym, który jednak, nawet w szkołach warszawskich, nie zawsze bywa takim, jakim mógłby być i powinien.

Pisarew w jednym z artykułów o szkole wszystkich tych, ktorzy domagają się jej reformy dla przerobienia społeczeństwa, porównywa złośliwie, choć nie bez słuszności, do „wędrownego węgra,“ sprzedającego truciznę na karaluchy z objaśnieniem, iż należy przedewszystkiem złapać robaka, otworzyć mu pyszczek, nasypać proszku na język, a wtedy karaluch niewątpliwie po dwu godzinach zdechnie. W istocie, udoskonalenie szkoły jest dopóty zupełnie niemożliwe, dopóki społeczeństwo nie wyrobi w sobie samo tych czynników, które się na to udoskonalenie składają. „Karaluch złapany“— mówi Pisarew, skoro społeczeństwo jest zreformowane. Lecz bywa często inaczej: zdarza się, iż szkoła, jako machina ciężka i nader złożona, postępuje wolniej niż społeczeństwo, pozostaje po za niem w tyle; a wtedy raczej do powstrzymania niż do przyspieszenia rozwoju służy.

Taki właśnie stan rzeczy istnieje, jak widzimy, oddawna u nas. Zdaje nam się, iż w długim okresie czasu jedna tylko w epoce Kołłątaja i Czackiego jaśniała chwila, w której wychowanie publiczne odpowiadało, jeśli nawet nie przewyższało, potrzeb narodu. Dziś, gdy z góry nakreślona ustawa wskazuje z całą ścisłością program i zakres nauki szkół średnich, wszelkie rozprawy nad naukowem ukształtowaniem gimnazyum byłyby polemiką, zaostrzającą stare spory o kierunek realny lub klasyczny, spory, po największej części na wzajemnem niepojmowaniu się walczących oparte. Każdą jednak ustawę można wykonywać lepiej lub gorzej, a nadto, każdej, jak obosiecznego miecza, na szkodę lub pożytek społeczeństwa użyć. Niewątpliwie, w granicach ustawy możnaby zrobić bardzo wiele ulepszeń, za pomocą bardzo prostego środka, t. j. przez dobranie odpowiednich nauczycieli; boć ostatecznie cała wartość szkoły od ich wartości zawisła.

Rzekliśmy, iż społeczeństwo nasze w rozwoju wyprzedziło szkołę; o dobór więc dzielnych nauczycieli powinno być nader łatwo, przewodnikom należałoby w zupełności powierzyć poprawę wychowania i rzecz sama przez się zostałaby rozwiązaną. Nie trudno jednak dostrzedz, wpatrzywszy się nieco bliżej w stosunki, że tak nie jest, że najbardziej wytężone starania stanu szkół nie polepszą, bo kompletu dobrych nauczycieli dobrać dziś u nas niepodobna. Przyczyny takiego stanu należy szukać bardzo niedaleko; jest ona tak jasną, iż bije w oczy z... małego uposażenia pracy pedagogicznej.

Szkoły rządowe za jedną godzinę lekcyi na tydzień płacą 40 rs. rocznie; prywatne płacą 50 — i to nie wszystkie, bo niektóre po 30 rs. Najhojniejsza Szkoła Techniczna kolei War. Wied. wynagradza nauczycieli w stosunku 60 rs. za godzinę tygodniowo. Wobec takich norm można przyjąć, iż średnią roczną płacą za godzinę tygodniowo jest 40 rubli. Nauczyciel więc, który ma dziennie 6 godzin lekcyj, czyli 36 w ciągu tygodnia, otrzymuje za to przez cały rok 1,440 rubli, co dla człowieka, posiadającego rodzinę, wystarcza zaledwie na dźwignięcie brzemienia obecnej drożyzny. O kupowaniu książek i prenumerowaniu czasopism, o utrzymywaniu stosunków ze światem naukowym w takich warunkach marzyć nawet nie można. Lecz ponieważ

---

adresów; lecz to mnie wcale nie martwiło. Biegałem przez dzień cały od Palais-Royal do Tuileriów, od Tuileriów na plac Vendom, stamtąd na Bulwary, a z tych na plac Bastylli. Pierwszego już dnia zwiedziłem połowę miasta. Jedno tylko nabawiało mię kłopotu. Poczta pędziła ze Strassburga trzy dni i trzy nocy, tak że dla najpotrzebniejszej rzeczy nie miałem potrzebnego czasu. Łatwiej pozbyłem się w drodze mych pieniędzy, aniżeli tego, za co zapłaciłem.

W Paryżu miałem dość potrzebnego czasu, lecz nie było potrzebnej sposobności; a nie wiedziałem, jak mam sobie poradzić. Nareszcie wchodzę do pierwszego lepszego domu w Palais-Royal, idę na piętro, natężam moje zmysły i szukam. Otwieram jedne drzwi, wsadzam głowę — pusty salon restauracyjny, na stołach leżą tylko napiętrzone srebrne naczynia. Przestraszony cofam się prędko. Idę na drugie piętro; otwieram znowu drzwi, a ujrzawszy jakiegoś starego rytownika przy pracy, mówię *pardonez, Monsieur* i prędko drzwi zamykam. Na trzeciem piętrze otwierałem podobnież wiele fałszywych drzwi, a przepraszając naprzemiany: *pardonez, Monsieur, pardonez Madame*, posuwałem dalej swoje odkrycia. Nareszcie na czwartem piętrze spostrzegam drzwi z małym, okrągłym, oszklonym otworem; sądziłem, że znajduję się u celu, szybko otwieram i oto zobaczyłem — młodą ładną dziewczynę. Rzekłem już owo zaklęte: *Pardonez Madame*, lecz *notre Dame* chwyciła mnie za ramię i pociągnęła w głąb, zasuwając drzwi. *Reposez vous, Monsieur* rzekła grzecznie. Pośpiech zrobił mię cnotliwym, położyłem pięciofrankówkę na stoliku jako podarek a wdzięczna ta istota zapoznała mię natomiast z topografią domu. Musiałem przejść jeszcze jedne schody. Tak w obcym domu dostałem się aż pod dach, wciskając zakłopotane me oblicze we wszystkie prawie drzwi. Gdybym nie miał pieniędzy w kieszeni, z pewnością dziesięć razy schwytanoby mnie, gdyż przesuwałem się i nasłuchiwałem jak złodziej. Lecz o dziwo! przeczuto we mnie niewidzialnego Boga, uważano mnie za świętego i dozwolono mi spokojnie przejść dom cały i wyjść zeń.

Ustawiczną bieganiną znużony i głodny, wstąpiłem do kawiarni, aby zjeść śniadanie, wypocząć i dalej puścić się na wędrówkę. Ciężki Reichard zawadzał mi w kieszeni— prosiłem tedy piękną damę za kantorem, by mi go przechowała, mając zamiar zabrać go dopiero na wychodnem. Ale ta z nieopisaną uprzejmością wstrzęsła swymi czarnymi lokami, zwróciła książkę mówiąc: *Oh! Monsieur*. Zmięszało mnie to. Położyłem książkę na stole i zapłaciłem za bilet na jej oprawie. Dama zgarnęła pieniądze, wzięła następnie książkę z większą uprzejmością, aniżeli ją zwróciła przedtem, schowała do szuflady, oświadczając, że starannie ją przechowa. W pięć minut dopiero wyjaśniłem sobie jej postępowanie. Poczciwa francuska myślała zapewne, że nie mam pieniędzy i za śniadanie chcę w zastaw dać książkę. Nie przyjęła jej, udając, że nie spostrzega mego zmięszania. Sprawiło mi to wielką przyjemność i nic ani przedtem, ani potem nie zatarło we mnie tego wrażenia. Francuzi zawsze wydawali mi się uprzejmi, zawsze ludzcy — ludzcy w najpiękniejszem tego słowa znaczeniu. Nietylko to jest ludzkością, jeśli przychodzimy komuś w potrzebie z pomocą, gdy o nią prosi — bo i któżby miał dość do tego siły i dobrej chęci — lecz jeśli po ludzku czujemy i umiemy biedę każdego odgadnąć i zrozumieć. Umieją to francuzi, są bowiem *całymi* ludźmi; nie umieją niemcy, ponieważ są tylko częściowymi; są oni małomieszczanami nawet w wielkich miastach i rozumieją szczęście lub nieszczęście tylko u ludzi swej sfery.

Zbliżający się zmierzch przypomina mi, że nie mam na noc żadnego przytułku. Wyszukałem tedy hotel pięknie otynkowany i oszklony, wszedłem i zażądałem pokoju. Na pytanie gospodarza, czy ma kazać sprowadzić rzeczy moje, odpowiedziałem krótko, że żadnych pakunków nie mam i że później nadejdą. Zmięszał się trochę —nic dziwnego, prosta zarzutka bobrowa, kupiona w Mannheim, sięgająca zaledwie po kolana, ubogi dawała ni pozór. Dano mi jednak pokój — sądząc zapewne, że można jedną noc zaryzykować. Postanowiłem codziennie załatwiać rachunek, ażeby gospodarza uwolnić od usprawiedliwionej obawy. Gdy nazajutrz zapytałem o niego, już wyszedł i przez cały dzień nie mogłem się z nim widzieć. Następnego dnia rankiem wszedł sam do mnie,

nie los nauczycieli, ale los szkoły w tej chwili nas obchodzi, więc zamknijmy uszy na ich skargi i przyjrzyjmy się, jakie skutki z małego uposażenia nauczycieli wynikają dla samej szkoły.

Pierwszym i niewątpliwym jest usuwanie się z niej wszystkich jednostek energiczniejszych i zdolniejszych, które na każdem innem polu mogą mieć nadzieję zdobycia wygodniejszych warunków bytu; podczas gdy niwa pedagogiczna daje tylko 1,440 rubli i to zarówno po 30 latach pracy, jak i w jej początku.

Drugim, także niewątpliwym skutkiem jest to, że dla powiększenia swych dochodów nauczyciele zarabiają lub starają się zarabiać więcej, niż im dają zajęcia szkolne a za najprostszy środek do tego służy przyjmowanie lekcyj prywatnych i uczniów na stancyę.

Dorobek ten sprowadza najbardziej opłakane następstwa — przeciąża bowiem pracą umysłową tych, którzy wówczas tylko z pożytkiem prawdziwym działać mogą, gdy są zupełnie niezmużeni, niezmordowani. Dość spojrzeć na zebranych w kancelaryi nauczycieli: pomarszczone i zbolałe twarze, nie czynią ich podobnymi do tych, którzy delikatną dłonią przyszły kwiat narodu hodować mają.

Lecz nie o powierzchowną obserwacyę tu chodzi. Fizyologowie wiedzą, ile to krwi arteryalnej zużywa wytężona praca umysłowa. Gdyby do pracy nauczyciela, wykładającego 6 godzin dziennie, zastosować przyjęty równoważnik roboty fizycznej, to wypadłoby $3 \times 6 = 18$ godzin rąbania drzewa lub noszenia wody — czego najtęższy drwal nie dokona.

Z tego przeciążenia pracą, nieuknionego przy małem uposażeniu, nieodbicie wypłynąć musi upadek umysłowy. O czytaniu, kształceniu się, obmyślaniu ułatwień w wykładzie marzyć nawet nie może zgnębiony murzyn.

Dwaj najzdolniejsi w Warszawie nauczyciele matematyki zapewniali mnie, że dobrych lekcyj mogą udzielić najwyżej trzy dziennie; że mając więcej, wszystkie prowadzą licho. Nawet po wielu latach wykładu odświeżanie sobie kursu przez czytanie odnośnych dzieł jest rzeczą niezbędną. Czy zaś może o tem myśleć człowiek, dający 6 lub 7, a zwykle jeszcze więcej godzin lekcyj, straszony ustawicznie widmami rozmaitych potrzeb i nędzy na wypadek choroby?

Tyndall wyznaje w swoich pismach, iż jedną z najpiękniejszych epok jego życia był czas, kiedy wykładał elementarny kurs geometryi w jednym ze średnich zakładów naukowych Londynu. Z opisu tych lekcyj przez samego Tyndalla wynika, że na każdą z nich przygotowywał się bodaj czy nie dłużej, niż na owe sławne odczyty, którymi w Europie i za Atlantykiem podziw wzbudzał. Gdyby nasi nauczyciele na każdą lekcyę chcieli się podobnie przygotowywać, wówczas doba powinnaby mieć co najmniej 240 godzin.

Nie chodzi nam, jeszcze raz powtarzamy, o materyalny byt jednostek. Rodzin, które za półtoratysiąca rubli utrzymać się muszą, jest w kraju bardzo wiele, i byłoby dobrze, gdyby ta suma stanowiła przeciętny dochód każdej rodziny w Polsce. Idzie nam o co innego: mianowicie o to, że ilość pracy, wymagana za tę cenę od pojedyńczego człowieka, jest większą, niż on drogą największych wysiłków dać zdolny. Nie mogąc dać dobrej, daje złą — a że na tem więcej traci kupujący, niż sprzedający, to nie ulega wątpliwości.

Są ludzie rozradowani wielce tem, że uczniowie nie uczą się dziś geometryi z książki na pamięć bez figur, jak to się działo za dawnych dobrych czasów. Ci wszakże optymiści zapominają o tym małym fakcie, że postęp na nikogo nie czeka; że dzisiejsze nasze szkolnictwo wraz z pedagogami, wymyślającymi dzieciom w wstępnej klasie od „bezrozumnych zwierząt,“ zadającymi dziewięcioletnim chłopcom z gramatyki podział zaimków na grupy i popełniającymi inne naukowe i pedagogiczne dziwolągi, — jest w porównaniu do zagranicznego, jeśli nie gorsze, to stosunkowo nie lepsze od dawnego. U nas przez ten czas zrobiono naprzód krok jeden, a u sąsiadów postąpiono o dwadzieścia.

Mierzmy ludzi miarą ludzką. Nie chwaląc ani ułomności w wykładzie, ani brutalstw w postępowaniu, pamiętajmy, że ludzie z materyalnych powodów zmuszeni traktować swój zawód jako rzemiosło, na wyższe jego stopnie czasem wznieść się nie mogą.

J. J.

Z NIEMIEC.

Prąd ku lewej stronie. — Rezultat wyborów. — Pytanie i niepożądana odpowiedź. — Statystyka emigracyi niemieckiej. — Ostrzeżenie. — Nowe wydawnictwa. — *Auf der Höhe.* — Tajemnica łączności polskich autorów z p. Sacher-Masochen. — Żydowski Rafael.—Początek życia organicznego. — Vom *Fels zum Meer.* — Za dobrym przykładem.

„Prąd zwrócił się na lewo, nie na prawo“ — jak pragnęli i przepowiadali z nakazu Pytyi warzinskiej „dobrowolnie urzędowi“ jej kapłani z Kalchasem dziennikarskiej sromoty, p. Pindterem na czele. Na ich okrzyki: *albo albo! za* lub *przeciw* Bismarkowi! — na odwołanie się do „narodu,“ od którego kanclerz niemiecki zażądał votum zaufania dla swej polityki wewnętrznej — rezultat wyborów odpowiedział takdalece przecząco, że oświadczył się *przeciw* Bismarkowi. Stronnictwa opozycyjne wzrosły, rządowe zmalały — taki jest piorunujący i upokarzający dla rządu wynik tegorocznych wyborów do sejmu niemieckiego. Przy głównym ołtarzu germańskiego boga, skąd on rozsypuje po kraju swe gromy i dobrodziejstwa, skąd blaskiem promienieje i potęgę rozpościera — w Berlinie przeszli postępowcy, którym usiłowano wydrzeć chociaż jeden mandat dla Stöckera. W innych miastach również zwyciężyły żywioły wrogie kanclerzowi, który nadewszystko utracił ze swej służby wielu narodowych liberałów i konserwatystów. Nawet socyalni demokraci, mimo praw wyjątkowych, mimo stłumienia wszelkiej na ich korzyść agitacyi, mimo gwałtów wreszcie zdobyli większą niż dawniej liczbę głosów. Tym razem więc Bismark stawkę przegrał a przegrał ją tem dotkliwiej, że w ostatniej chwili uciekł się do plebiscytu. Przez wszystkie telefony dziennikarskie grzmiało z Warzina wezwanie: narodzie objaw swą wolę: czy jesteś za mną, czy przeciwko mnie? Przeciwko ministeryalnemu despotyzmowi, przeciwko reakcyi, przeciwko ciężarom ekonomicznym, przeciwko prawom wyjątkowym, przeciwko nieokiełznanej woli łamiącej ustawy konstytucyjne — odpowiedział naród daleko liczniej, niż kiedykolwiek. Jeżeli kanclerz

---

uścisnął mi rękę — wyglądał jak uosobiona uprzejmość, a nawet serdeczność. Dowiedział się z gazet, iż przybyłem do Paryża jako polityczny wychodźca. Ofiarował mi cały swój dom, stół, nawet sakiewkę. W lepszych okolicznościach oddasz mi pan — mówił. Przez dni czternaście tj. do czasu, póki moje kufry z Niemiec nie nadeszły, daremnie codzień prosiłem o rachunk. Dopiero gdy rzeczy moje przybyły, a gospodarz widział, że nie jestem bez środków, przyjął zapłatę.

Tak postąpił francuz, dla którego byłem obcym. Wkrótce poszedłem do znajomego, w Paryżu zamieszkałego kupca-niemca i prosiłem go o pozwolenie przesłania na jego ręce moich kufrów, gdyż nie będąc pewnym, czy dłuższy czas zabawię w dotychczasowem mieszkaniu, nie mogę przyjaciołom moim podać żadnego pewnego adresu. Zaniepokoił się już memi odwiedzinami, skoro zaś prośbę usłyszał, przestraszył się, zmieszał — aż litość brała. Zaczął mię zaklinać, abym go wraz z moimi pakunkami oszczędzał; wyczytał bowiem w dzisiejszych dziennikach, iż jestem wplątany w sprawy polityczne, w które nie chciałby się wdawać. *Je suis père de famille*—bła-galnie mówił głupiec. Za wiele od niego wymagałem; był nie tylko niemcem, lecz także żydem, więc zającem z ośmiu nogami. Pozwoliłem mu uciec. Jest to jednak wskazówka dla mężów stanu, że jeśli chcą zakończyć z wszystkimi strasznymi liberałami, nie mogą zrobić nic mądrzejszego, jak kazać ich obrzezać i zamienić na żydów. Wtedy liberały staną się łagodni jak baranki — a zakupieniem papierów państwowych złożą kaucyę za swe spokojne zachowanie się.

Przez dni czternaście dzienniki paryskie różnych stronnictw mówiły o mojem przybyciu. Używały mnie naturalnie tylko jako farby i jedne rozcierały mnie służalczo tłuczkiem, inne gotowały liberalnie miękko, jednak mówiono o mnie. Nie mogłem oczom wierzyć. Czyż jestem najwyższą osobą? kuryerem, primadonną, urzędnikiem obchodzącym jubileusz? Niczem podobnem, a przecież mówią o mnie dzienniki. Co to za głupi ludek! Szczególniej utkwił mi w pamięci długi artykuł w *Journal des Debats*, w którym częścią mitologicznie, częścią biograficznie opowiadano, że jestem żydem, jakobinem, człowiekiem zdolnym, wysłannikiem niemieckich demagogów do Paryża dla otrzymania *mot d'ordre* z *Comité directeur*. Ale—tak kończył artykuł—byłem *d'ailleurs un homme de bonne foi.* Ponieważ *Journal des Debats* był wówczas dziennikiem ministeryalnym, mogli więc lojalni niemcy na niego przysiądz, jak na austryackiego *Beobachtera* i pruską *Staatszeitung*, że jestem rzeczywiście *un homme de bonne foi.* Uwierzą mi przeto, że nie byłem emisaryuszem niemieckich demagogów do Paryża, że nie poznałem żadnego *Comité directeur*, że nigdy tenże nie istniał i że nie otrzymałem żadnego *mot d'ordre. Mot d'ordre*, ja, któremu tylko ja sam i mój lekarz coś przepisywać może. Miły Boże! nie jestem przecież takim głupcem!

Zaraz pierwszego dnia po przybyciu, zanim jeszcze dzienniki o mnie wspomniały, bardzo wielu niemców odwiedziło mnie; żadnego nie znalem, każdy jednak z nich zapewniał, że zna mnie doskonale — co zresztą było możliwem. Bóg wie, jakim sposobem dowiedzieli się o moim adresie. Karmili mię francuskiemi pieszczotami, ciągali z sobą, brali do swego towarzystwa, chwytali serdecznie za ręce, przyciskali do piersi, ujmowali za szyję, tak że jamy naszych ramion tworzyły kapsle, w których można byłoby umieszczać kule mydlane. Pytali, co też słychać w kochanej ojczyźnie? Odpowiadałem, jak dziecko lub głupiec. Umiem wprawdzie milczeć, gdy chcę, lecz nie lubię. Dla czego? Bo czasem mogę natrafić na taką glebę, że gdy tam padnie maleńkie nasionko — zapuszcza w niej korzenie. „Biedna ojczyzna!“ Wołali niemcy i szukali wzajemnej pociechy w przyjacielskich spojrzeniach. Szczerze pragnąłem podusić łotrów! Tak przeszło dni kilka tj. zanim wyrzerpały się moje usta; wtedy znikli i odtąd nie widziałem ich już nigdy. Bodaj ich djabeł porwał! — jeśli w tych dziesięciu latach, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu tego nie uczynił.

do tej odpowiedzi przywiązuje jakąś wagę, jeżeli nie podepcze jej tak, jak podeptał wiele praw ustroju Niemiec. powinienby w niej uznać poważną przestrogę.

Nie brakło mu przed wyborami ostrzegających znaków. Gdyby mógł a nadewszystko chciał wpatrzyć się w statystykę wychodźctwa niemieckiego i podsłuchać, co mówią jej cyfry, znalazłby w nich wyrok dla swej polityki i dla wszelkich z nią pokrewnych systematów. Olbrzymie te cyfry usiłowano objaśnić silnym popędem niemców do emigracyi. Kto wszakże badać umie albo swych myśli „dobrowolnie urzędową“ logiką podszywać nie potrzebuje, przyznać musi, że na potok emigracyjny składają się głównie, jeśli nie wyłącznie, przyczyny polityczne i ekonomiczne. Przypomnijmy sobie największe wędrówki niemieckie do Ameryki: w r. 1780 nieurodzaj i ucisk (Wirtemberg); w r. 1817 głód; 1831—40 oraz 1851—60 reakcya; 1866 wojna; 1871—3 zawiedzione nadzieje zjednoczenia Niemiec. Nader pouczające są świeżo ogłoszone z lat dziesięciu wykazy emigracyi niemieckiej przez dwa miasta portowe: Bremę i Hamburg, z których okazuje się, że gdy w r. 1879 wywędrowało tamtędy 28,993, w r. 1880 już *94,414*, w bieżącym zaś przez sam Hamburg od stycznia do końca kwietnia *45,752*. Dodać do tego należy pokaźne liczby emigrujących przez Szczecin i Antwerpię (przez którą w roku zeszłym przepłynęło 11,224 wychodźców), a będziemy mieli przybliżony obraz olbrzymiej ucieczki przed dobrodziejstwami bismarkowskiego gospodarstwa, które w roku 1879 na 100,000 mieszkańców Niemiec wystraszyło z kraju 140, a w r. 1880 już *4,400*. Zadowolenie... wzrosło!

Czy cyfry te nie pozostają w zupełnej zgodzie z wynikiem obecnych wyborów i nie objaśniają, dlaczego „prąd zwrócił się na lewo, nie na prawo?“

Ważność tego zwrotu nie ogranicza się do samych Niemiec. Dzięki swej potędze służą one za wzór i za zegar, regulujący życie innych narodów. Może też i one skazówki swe nieco przesuną...

Zbliżający się rok nowy rzucił już pierwsze płatki literackiego śniegu, które bądź stopnieją szybko, bądź zatrzymają się na wyżynach. Do wyżyn tych ma pretensyę, przynajmniej tytułem, rozpoczęte świeżo w Lipsku przez osławionego Sacher-Masocha wydawnictwo miesięczne *Auf der Höhe*. Wydawnictwo to a raczej lista jego współpracowników, między którymi znaleźli się dwaj polacy, Kraszewski i Okoński, dało powód w prasie warszawskiej do rozmaitych komentarzy i zaprzeczeń. Podczas gdy Kraszewski w *Tygodniku Ilustrowanym* wystąpił z zastrzeżeniem, ażebyśmy, nie uprzedzając się, poczekali z sądem na spełnienie faktu, Okoński zaś wyparł się wszelkiego współpracownictwa, sam p. Sacher-Masoch w pierwszym zeszycie daje nam rozwiązanie zagadki: jakim sposobem polscy a może i inni pisarze znaleźli się w jego saku. Oto zamierza on tłomaczyć w swem piśmie ich utwory (*Klemensa Borutę* Okońskiego). Wobec nieograniczonej swobody przekładów z polskiego na niemiecki ma on do tego zupełne prawo; nie miał prawa jedynie kłamać w listach do gazet warszawskich, że dwaj autorowie *przyrzekli* mu swe współpracownictwo. Jest to jednak grzech, który z pewnością takiemu bandycie nie sprawi wyrzutów sumienia. Ale zajrzyjmy do jego miesięcznika. Rozpoczyna go nadęty wiersz H. Lingga „Geniusze ludzkości,“ po którym idzie powiastka Sacher-Masocha „Żydowski Rafael“ (*Judenraphael*). Naturalnie wątek jej osnuty na stosunkach polsko-rusińsko-żydowskich w Galicyi. Owym Rafaelem jest syn księdza unickiego Plutin, który nie chce się uczyć, lecz rysuje, wycina figurki z papieru a — oddany do szewca — ze skóry, następnie kształci się u prowincyonalnego malarza, wreszcie pędzi awanturnicze i tułacze życie śród jakiegoś cygańskiego grona, rysując ustawicznie charakterystyczne głowy żydowskie. Przy rodzącej się miłości Plutina do modelu na Madonnę, pięknej izraelitki, zawiesza autor niezbyt wytężoną uwagę czytelnika, który dopiero w dalszych zeszytach ma się dowiedzieć o losie bohaterów. Jak wszystkie utwory Sacher-Masocha i ten odznacza się mdłą fantazyą, brakiem wszelkiego realizmu, którego obowiązki pełni nieśmiertelna w pomysłach tego pisarza *kacabajka* wraz z nielicznym pocztem miejscowych nazw i wyrażeń. Że i ta nowella Sacher-Masocha, który prawem kaduka zyskał w literaturze niemieckiej sławę wiernego malarza Galicyi, dałaby się przylepić do każdego europejskiego, amerykańskiego lub wreszcie azyatyckiego gruntu, nie ulega wątpliwości.

Na treść pierwszego zeszytu *Auf der Höhe* złożyli się dalej: nieboszczyk Bluntschli, Sanders (o właściwościach językowych Lessinga), R. Oberländer (król Kalakua i królestwo Hawai) i inni wraz ze sprawozdawcami. Bezsprzecznie największą między wszystkimi artykułami wartość posiada rozprawka K. Vogta: „O początku życia organicznego,“ godna bliższego czytelników naszych zastanowienia.

Co to jest życie? Jaki jego początek? Jaki koniec?

Pytań tych nie rozstrzyga Vogt metafizycznie. „Im bardziej postępuję — mówi on—tem głębiej się przekonywam, że tak zwane filozofowanie nigdy jeszcze nie rozwiązało żadnej zagadki, lecz służy tylko do osłonięcia naszej niewiadomości i niemocy. I dlatego zgadzam się zupełnie z poetą, który powiada: „Spekulujący gawron podobny jest do zwierzęcia, które wodzone przez złego ducha błąka się po pastwisku, podczas gdy naokoło rozpościera się zielona trawa.“ Dawniejsza wiedza, przyjmująca „siłę życia“ i odgraniczająca ściśle świat organiczny od nieorganicznego, miała nietrudne zadanie; dzisiejsza jednak granicę tę usunęła. Nie znaczyto przecie, ażeby zupełnie nie odróżniała obu światów. Ciała bowiem organiczne pochodzą od przodków, które posiadały pewną oznaczoną formę; tymczasem nieorganiczne powstają pod wpływem pewnych warunków i nie mogą być wywiedzione od przodków, posiadających określoną postać. Kryształy soli np. rodzą się z roztworu, w którym nie było żadnych kryształów. W pracowniach naszych otrzymujemy codziennie tysiące ciał nieorganicznych, które nigdy w naturze nie istniały i których ona nigdy nie wytworzy; naodwrót, możemy sztucznie wyrabiać te, które ona wyrabia. Jakkolwiek wiedza nasza znacznie postąpiła w znajomości materyj organicznych i jakkolwiek dziś z pierwiastków twórczych umiemy w laboratoryach składać takie ciała, które dawniej uważano za wyłączne płody natury, jednakże przepaść nie została jeszcze zapełniona, gdyż dotąd nie możemy sztucznie wytwarzać żywych organizmów z oznaczoną formą. Jest to właśnie punkt, około którego krążą wszystkie usiłowania badaczów. Nikt nie zdołał dotychczas wskazać faktu pierworództwa organicznego. Łańcuch biologiczny niema końca. Cofniemy się najdalej, nie znajdujemy takiej pierwotnej praistoty, któraby powstała skutkiem współdziałania pierwiastków martwych. Niemożliwość wszakże objaśnienia faktu nie usuwa pytania z nauki, która swego ostatniego słowa jeszcze nie wypowiedziała i zrzekać się dalszych poszukiwań nie potrzebuje. Opierając się na domniemaniu, że najniższe organizmy znajdują się w głębiach morza, tam usiłowano odszukać i odnajdywano pierwsze zarodki życia. Jeżeli cała nasza wiedza przyrodnicza, wymagająca dla życia organicznego pewnych warunków, nie myli, przyznać musimy, że życie to pojąć możemy tylko na ziemi i że w jej tworzeniu się musiał istnieć czas, w którym ono się poczęło. Pomijając zbyt naiwne już dla obecnego naszego poznania teorye o jednoczesnem powstaniu czy stworzeniu wszystkich gatunków biologicznych z materyi martwej, naukowo możemy pojąć wystąpienie życia tylko dwojako: albo była chwila pierworództwa organizmów, albo też one w postaci zdolnej do rozwoju jakimś sposobem dostały się na ziemię. Drugą tę hypotezę usnuł szczególnie dr. Richter z Drezna, który nasiona życia widział w rozproszonych i spadających na ziemię ciałach niebieskich (aerolitach). Ziemia nasza—powiada on — w biegu swoim po przestrzeni niebieskiej ciągnie za sobą wir organizmów, zarodków, ciał i szczątków wszelkiego rodzaju, które łącznie z nią poruszają się w atmosferze. Wir taki towarzyszy każdemu innemu ciału. Dlaczegóż więc owe zarodki, owe organizmy nie miałyby również wchodzić w zakres przyciągania każdego innego ciała niebieskiego, jak aerolity wchodzą w sferę naszej ziemi, i dlaczego nie miałyby tych ciał niebieskich niejako zarażać życiem organicznem? Teorya ta byłaby bardzo piękną, gdyby usiłujące ją w nowszych czasach poprzeć badania mikroskopowe do wiodły, że w aerolitach i innych zresztą kamieniach znajdują się rzeczywiście ciałka organiczne i że one to obsiały ziemię życiem. Ale, jak dotąd, jest to tylko złudzenie, nawet dość lekkomyślne, chociaż bardzo ponętne. Dodać przytem trzeba, że ono nie objaśnia nam wcale początku życia, lecz przenosi tylko jego zagadkę na inne ciało niebieskie.

Vogt nie rozwiązuje tej zagadki, bo przy dzisiejszym stanie nauki uczynić tego nie może. On tylko formułuje ją naukowo i ocenia wartość dotychczasowych rozwiązań.

Z wywodu jego wyłuskaliśmy samo jądro, warto wszakże poznać i łupinę tej gruntownej i przejrzystej rozprawki, która posiada ten rzadki przymiot, że głowy czytelnika nie zaciemnia, lecz ją rozjaśnia.

Nader użytecznem wydawnictwem wzbogacił tak zwaną literaturę rodzinną znany nakładca sztutgarcki W. Speman, który na wzór miesięcznych zeszytów Westermanna rozpoczął bogato ilustrowane czasopismo *Vom Fels zum Meer*. Zawiera ono przeważnie powiastki, ale także artykuły naukowe, umiejętnie uprzystępnione dla młodego wieku i mniej ukształconych czytelników. Wobec olbrzymiego powodzenia tego rodzaju wydawnictw w Niemczech, dziwić się należy, że uboga fantazya nakładców warszawskich zdobyła się tylko na *Tygodnik Romansów* oraz *Romans i powieść*, nie spróbowawszy wejść do rodzin pod tą ujmującą postacią.

Liber.

PIŚMIENNICTWO POLSKIE.

Pamiętnik Soroki. *Tygodnik Ilustrowany* nr. 297—301, r. 1881).

Jerzy Soroka, którego pamiętnik ogłosił dr. Władysław Wisłocki, od r. 1772 pełnił funkcyę pazia na dworze Adama Czartoryskiego, następnie oficera kawalery i koniuszego, przyczem i interesa księcia załatwiał na Litwie. „Krótka wiadomość życia“ Jerzego, obejmująca przeciąg czasu od r. 1772 do 1822, stroni od faktów wydatnych, a podaje przeważnie wspomnienia z przebytej u księcia Adama służby, szczegóły, dotyczące podróży Czartoryskiego, dworu jego i życia. W pamiętniku swoim jest pan Soroka przedewszystkiem *koniuszym*. Dla scharakteryzowania upodobań jego dość jest przytoczyć, że zapomniał o nazwisku marszałka sejmu wielkiego i Racławicach, gdy najdrobniejsze

szczegóły, dotyczące parad, koni i rzeczy ich, z całą subtelnością wyłożyć potrafił. Oto co o noworocznej paradzie wiedeńskiej z r. 1786 z *pamięci* (dyaryusz bowiem w r. 1812 zaginął) umiał przytoczyć. „O godzinie 10-tej JW. Rzewuski, chorąży litewski, orderów polskich kawaler, sekund-kapitan, przyprowadził gwardyę galicyjską przed dom księcia jegomości i skoro sformował frontem linią, ja, Soroka, ubrany w żupanie białym atłasowym, kontuszu sukiennym ponsowym, suto galonowanym, o pasie bogatym, przy karabeli złocistej, w butach żółtych, siedziałem na koniu dzielnym, osiodłanym pod rzędem srebrnym. Za mną dwóch masztalerzy w kontuszach ponsowych, żupanach zielonych z galonami srebrnemi, przy szablach oprawnych w srebro, w butach żółtych, prowadziło konia siwego hiszpańskiego, za którego księciu ministrowi Kaunitzowi zapłacono czerwonych złotych 500. Drugiego gniadego, także ze stajni Kaunitza kupionego za czerw. zł. 200 i trzeciego czarnopstrokatego ze stada własnego podolskiego, prowadzili kozacy, każdego po dwóch, ubrani także w kontusze ponsowe, żupany zielone z galonami srebrnemi, pasy bogate, jak na masztalerzy, karabele w srebro oprawne, ładowniczki również z blachami, klamrami i cynglami srebrnemi, czapki czerkieskie z galonami i obszlegami z blachy srebrnej, również jak masztalerze w butach żółtych. Na każdym koniu była terlica w srebro pozłacane oprawna, z rzędem garniturowym kamieniami sadzonym t. j. nagłówek, podpiersień i podogonie; kulbaki przykrywały dywdyki dwa sukienne, a trzeci aksamitny, haftowane złotem z frenzlą siatkowej roboty i kutasami złotemi, długiemi do pięcin tylnych; u nagłówka przy każdem uchu miał koń każdy kitkę z piór czaplich czarnych, oprawną i kamyczkami różnokolorowemi wysadzoną. Na wierzchu siodła każdego był zawieszony sahajdak z łukiem i strzałami, kosztowny i ozdobny. Osobno kolczan czyli tarcza, dwie bogato haftowane z klamrami złocistemi, wysadzanemi drogiemi kamykami, trzecia z rybiej skóry przezroczysta, lekka i tak twarda, że kula od pistoletu przebićby jej nie mogła. Nadto były jeszcze szable długie krzywe, jak u tureckich panów, które na koniach powodnych przyczepiać się zwykły, dla użycia czasu wojny i przy jednej kulbace był berdysz stalowy, mający na sobie różne drogie kamyczki i drutem złotym w desenie nawlekany, kiedyś do gonitwy i boju używany. Za wyprowadzonemi końmi jechał pułkier na ogromnie wysokim koniu ciemno-szpakowatym, z kotłami srebrnemi; za nim czterech trembaczów. Dalej j. o. książę kapitan na koniu dzielnym czarnym, kupionym od księcia Esterhazego: kolbaka oprawna w srebro pozłacane matową robotą, rząd szeroki, wysadzany dużemi krwawnikami, rytemi drutem złotym, do którego i strzemiona szerokie, złociste, także krwawnikami sadzone. To siedzenie służyło Janowi Sobieskiemu, po którym dostało się Sieniawskiemu, hetmanowi w. koronnemu, ojcu matki ks. feldmarszałka; do tej pory zachowane, odzłocone tylko i powleczone mitinkiem aksamitnym, haftowanym w karpiową łuskę, z frenzlą złotą. Przy nagłówku u prawego ucha sterczała kitka z piór czarnych czaplich, w okówku rubinami sadzonym. J. o. książę jegomość ubrany w żupanie ponsowym i kontuszu granatowym, haftowanych naokoło złotem; czapka ponsowa z kasztanowatym barankiem, pas perski, na dnie złotem kwiatki ponsowe z zielonemi, cienki jak pocztowy papier, szeroki na pięć ćwierci łokcia, długi łokci osiem, jak podobnego wyszukać i widzieć nie zdarzyło się nigdzie... Buty czerwone safianowe, gwiazda brylantowa, szlify brylantowe, u czapki kita z siedmiu piórami brylantowa, na schylaniu siódmego wisiał formą śliwki węgierskiej duży szmaragd; pod kitą kokarda także z brylantów, w jej wiązaniu wisiały trzy perły wielkie, a pod niemi soliter większy od bobu, żółtawy, który miał być darowany od Henryka Walezyusza... Tęczyńskiemu. Pałasz oprawny w złoto, na rękojeści sadzone rzędem brylanty wielkości wielogrochu, paluch i wszystkie skówki także brylantami kameryzowane, na ładownicy blacha złota, na niej listwa naokoło szerokaz brylantów we trzy rzędy sadzonych, pośrodku cyfra „Josephus II“ z brylantów, z przodu cyngle z przetyczkami, z tyłu sprzączka i skówki złote, również kameryzowane; w miejscu taśmy łańcuch szeroki, wzorem galonu robiony. Prawe ramię okrywał lampart, klamrą kameryzowaną spięty, na szabli wisiał bizunek mały, na trzcinie osadzony, skówki u góry i dołu złote, brylancikami i rubinami kameryzowane.“

Żeby podobnymi szczegółami cały zapełnić pamiętnik, trzeba było mieć umysł modniarki. Nie czynimy z tego Soroce zarzutu, boć wszyscy prawie pamiętnikarze nasi z XVII i XVIII stulecia ścisłą raczej wychylonych butelek podają liczbę, niż relacyę o sprawach ważnych; głębiej wglądają w końskie kitki, w kamyki i pasy, niż w stosunki krajowe lub też w charakter ludzi. Z innego stanowiska patrzą na życie otarci na Zachodzie ludzie doby późniejszej, uszlachetnieni w ogniu walk ciężkich i cierpień. Najskromniejszy pamiętnikarz legionów lub Księstwa Warszawskiego rozległością poglądów i podniosłością uczuć takich ojców jak: Pasek, Chrapowicki, Zawisza, Matuszewicz, Ochocki i t. p. nieskończenie przewyższa.

Dr. Wisłocki ubogi, chociaż nie bez wartości, pamiętnik Soroki przypisami opatrzył obficie. Zecer zapewne podaną w przypisku datę bitwy pod Maciejowicami na 28 października zamienił; sprostowania również wymaga błędne orzeczenie Soroki, jakoby sejm czteroletni był „*wolnym* sejmem ostatnim.“ *Wolnemi* nazywały się sejmy, na których rozstrzygano sprawy jednomyślnością; nie mógł być *wolnym* sejm wielki, gdy jako konfederacki stanowił wszystko większością.

Wł. Smoleński.

Wojna, obraz dramatyczny w 5-ciu aktach Seweryna Płomieńczyka. Kijów, w księgarni Leona Idzikowskiego 1881 r.

Wbrew znanej zasadzie Schillera, że co ma ożyć w pieśni, musi umrzeć w rzeczywistości — p. Płomieńczyk oparł swój obraz dramatyczny na bardzo niedawnem oddaniu pod opiekę Austryi dwu prowincyj słowiańskich, będących siedzibą ruchawek powstańczych. Główną treścią *Wojny* jest opór narodowy bośniaków przeciwko tej przyjacielskiej protekcyi. O ile sądzić można z całego toku i wykonania dramatu, autor nie patrzył albo nie umiał dostrzedz rzeczywistości faktów, stanowiących osnowę jego utworu. Od pierwszych scen czujemy tu zupełny brak kolorytu miejscowego, który tak świetnie cechuje powieści Jeża, malowane na tle dziejów słowiańszczyzny południowej. Mimo to przyznać należy, że wstępne sceny ruchawki bojowej posiadają istotną żywość; że zwłaszcza figury drugoplanowe poruszają się w nich naturalnie, chociaż nie czuć w nich bośniaków z krwi i kości. Wśród tego grona stoi frazesowy bohater dramatu, Stefan, postać deklamacyjna, komunał. Jest on apostołem pokoju, zwolennikiem postępu, osiągniętego na drodze spokojnej pracy i oświaty; nie che szarpać sił narodu w bezowocnych pokuszeniach i gotów się pogodzić z nieproszonymi opiekunami. Ale prąd wojowniczy, gorąco patryotyczny, wylewający się z Jana Czernego zwycięża. Po kilku płomiennych tyradach między dwoma przywódcami, Stefan, podniecony wieściami o gwałtach niemieckich, staje na czele ruchawki, żegna się uroczyście z narzeczoną, Anną Tomaszewicz i przez pewien czas walczy szczęśliwie, targa nawet sidła szatana dramatu, Diamanszteina; ale mimo pancerza szlachetnych słów, upada. Zdrada wypuszczonego na wolność nędznika gubi ostatnie siły powstańcze. Chociaż Stefan walczy jak lew; chociaż jego narzeczona przybywa w stanowczej chwili z pomocą; wódz, ugodzony kulą, pada na placu, jego kochanka ginie od austryackiej kuli, armia okupacyjna wydaje okrzyki zwycięztwa, a zdrajca zaciera ręce z radości i dopomina się u austryaków nagrody.

W upostaciowaniu pomysłu swej sztuki autor nie trzymał się ściśle narodowej strony tematu, ale chciał w duchu ogólnie ludzkim zaprotestować przeciwko okrucieństwom wojny i w duszy bohatera umieścił tę miękką humanitarność, która wywołuje jego los tragiczny. Upadek ten nie ma w sobie poetycznej wzniosłości, gdyż jest wynikiem przesady sentymentalnej, która zamilknąć musi w czasach krwi i żelaza. Chociaż działania Austryi malowane są tu w barwach ujemnych, autor, jeżeli chciał wykazać jej niecnotę na półwyspie Bałkańskim, nie umiał tego uczynić w sposób dość wyraźny i przekonywający. Nie można tedy powiedzieć, aby p. Płomieńczyk szczęśliwie zwyciężył trudności, wynikające z natury przedmiotu. Chociaż istotnie wymagania prawdy dziejowej stanowią szkopuł dla twórcy, jednakże fakty świadczą, że i na tym gruncie mogą powstawać piękne utwory poezyi.

W naszej literaturze posiadamy pełen pierwszorzędnych zalet obraz dramatyczny *Na Ukrainie*, który okupuje niespójność kompozycyi potęgą i pięknością obrazowania, a będąc bardzo szeroko nakreśloną panoramą stosunków społecznych, posiada wartość dokumentu historycznego, okraszonego nieśmiertelnym powabem poezyi. Utwór p. Płomieńczyka nawet w małej części takiej wartości nie posiada, gdyż frazeologia wypełnia po brzegi jego ramy a charakterystyka ukazuje się tylko w drugoplanowych scenach i postaciach. Pod względem artystycznym jest on szeregiem scen, czasami dość efektownych, pisanych ze szczerym, niekiedy nawet płomiennym zapałem, ale wiązanych słabo, niespływających się w jedność artystyczną. Kompozycya świadczy o słabej twórczości. Niezależnie wszakże od tych usterek, w scenach pojedyńczych, w stylu autora widnieje istotna pisarska zdolność, którą może z czasem wzmocnić obserwacya, wyrugowawszy czczy patos na korzyść prawdy i poezyi. W czytaniu dramat sprawia tu i owdzie sympatyczne wrażenie, gdyż w jego frazesach tętni ta potęga najszlachetniejszej miłości, która chyba tylko za cenę wielkich ofiar ugina się przed żelazną koniecznością.

J. K.

JERZY BRANDES

SZKIC LITERACKI.

IV.

Wypada nam obecnie scharakteryzować Jerzego Brandesa pod względem czysto literackim, a oceniając w nim pisarza i artystę, zaznaczyć, chociażby tylko szkicowo, wszystkie jego na tem polu prace.

Od dziennikarskiej krytyki teatralnej, stanowiącej wstęp do dalszej jego karyery poczynając, mamy przed sobą cały szereg pism, studyów, monografij, które wszystkie ześrodkowują się w jednem jego największem i najpotężniejszem dziele, w *Głównych prądach literatury XIX wieku.* „Wielka to chwila w życiu pisarza — mówi Brandes — chwila dojrzałości, gdy na statku, własną ręką zbudowanym, wybieramy się świat objechać, lub chwytamy za skrzypce

przez nas wystrugane, by własną na nich zagrać melodyę.“ Dla niego epoką taką jest wzmiankowana książka; w niej też zawarte jest jakby wyznanie wiary autora i cały, rzec można, systemat filozoficzny; ku niej zmierza to, co poprzednio myślał i pisał, od niej pochodzą i w niej źródło mają późniejsze jego utwory, które w stosunku do wieku pisarza, liczącego obecnie nie więcej jak lat 40, bogatą już składają bibliotekę.

W *Krytykach i portretach* daje nam Brandes zadatek następujących dzieł swoich, w których przesuwają się przed oczyma czytelnika, jak w latarni magicznej, już to obrazy duchowego życia narodów, już to profile genialnych marzycieli (Kierkegaard, Fegner), już to silnymi konturami odznaczone typy ludzi, rozpościerających na otoczenie swe oraz przyszłość wpływ wybitny i trwały (Lord Beaconsfield, Ferdynand Lassalle), już nareszcie postacie nacechowane pewną oryginalnością w utworach literackich (Andersen, Mill, Merimée, Paweł Heyse).

Wszystko, czego się myśl Brandesa chwyta a pióro jego dotyka, musi nosić na sobie piętno jakiejś niezwykłości. Epoki i społeczeństwa nabierają w obrazowaniu jego pewnej szlachetności i wagi, nie tracąc przytem cech prawdy. Niemal pychą u niego nazwaćby można uczucie, broniące mu przystępu do przedmiotów zwyczajnych, ludzi miernych i charakterów codziennych. Co wzniośle w czynie, odważne w myśli, pożyteczne w skutkach dla ludzkości, co jest śmiałem usiłowaniem do osiągnięcia wyżyn możliwej doskonałości, ma dar rozpalania go i roznamiętniania. Każdy objaw wolnej myśli ludzkiej, każdą pracę sumienną dla idei prawdy i swobody uważa za świętość. Ale zarazem takt jakiś wyższy, smak dobry i miara estetyczna—nie pozwalają mu wpadać w grube błędy przesady i bałwochwalczego zaślepienia, tak że literackie studya jego, nawet te, w których się unieść daje sympatycznemu przedmiotowi, i te, w których się najbardziej zapałowi poddaje, nie noszą na sobie cech bezmyślnego panegiryku. Za przykład posłuży nam jeden z jego bardzo skończonych zarówno w treści jak w zewnętrznej formie szkiców, mianowicie Andersen. Ile tam prawdziwego uwielbienia dla nowej i świeżej myśli, dla poetycznego natchnienia; jak się Brandes zachwyca prostotą i wdziękiem stylu wielkiego bajarza, a z jakiem zajęciem i serdecznością mówi o jego młodych słuchaczach! Upaja się poezyą, fantazyą, uczuciem Andersena, ale zarazem nadmienia z przekonywającą siłą logiki, że ten wzniosły liryzm i ta uczuciowość nie mogą iść w parze z doświadczeniem; że fantazya, jak ptak skacząca i bujająca, nie jest w stanie zgłębiać z zimną krwią wszystkich tajników ludzkiej natury; że poecie brak psychologicznych i fizyologicznych pierwiastków do tworzenia postaci żywych i prawdą tchnących. Genialnym jest więc Andersen w swoim specyalnym odrębnym rodzaju, w bajce, i w tej formie czarować może, w innych zaś kierunkach twórczości brak mu psychologicznej intuicyi i męskiej siły. Jest jeszcze między innemi jedno dzieło Brandesa, dające nam przykład taktu i wstrzemięźliwości w krytyce, a mianowicie poważna jego polityczna praca o Beaconsfieldzie. Jako duńczyk, z uczucia patryotyzmu miałby prawo do uzasadnionej urazy względem angielskiego premiera, a mimo to studyum jego jest trzymane w tonie tak beznamiętnym i chłodnym, takiem przejęte jest uznaniem dla wyjątkowych zdolności wielkiego męża stanu, że w Anglii nawet niemałego doczekało się powodzenia.

Celuje przedewszystkiem Brandes wyborną charakterystyką dziejową, wiernem obrazowaniem czasu i miejsca, trafnem odwzorowywaniem dawnej epoki i społeczeństwa, z czego przypuszczać należy, że byłby bardzo dobrym historykiem, gdyby nie tylko w krytyce, ale i na polu dziejopisarskiem sił swoich próbował. Jak doskonałym jest naprzykład rys wewnętrznego ustroju i polityki Niemiec w książce o Lassallu; jak pysznie pochwycony i śmiałem piórem skreślony bieg naturalny dziejów, który *Niemcy Hegla na Niemcy Bismarka zamienił!*

Na innem miejscu zajmuje nas świetne porównanie cywilizacyi germańskiej z francuzką i wyprowadzony z niego wniosek, że wielkie, marzycielskie, poważne Niemcy ze swą wybitną skłonnością do oderwanego rozmyślania, ze swoim panteizmem i poezyą podobne są do Indyj, podczas gdy Francya — naturalnie z wszelkiemi zastrzeżeniami — do nowożytnej Hellady. Mnóstwo jest takich wybornych malowideł w jego dziele. Tu występuje w jaskrawych barwach rewolucya francuska, z całą swoją ponurą i morderczą grozą, której gilotyny oświeca jednakże jutrzenka wolności i swobody. Tam powstanie irlandzkie roztacza smutną swą, krwią najprzedniejszych bohaterów namaszczoną epopeję. Owdzie znowu piękny przedstawia się oczom naszym krajobraz, a w nim zakwita mistyczna i cieplarniana roślina (*Die blaue Blume*) kwiat niemieckiego romantyzmu. Gdzieindziej nareszcie mamy opisy umysłowego i społecznego życia Danii, szare malowanki północy, w których czuć, że autor pięści zaciska i zębami zgrzyta z głębokiego patryotycznego bólu nad nieudolnością, zacofaniem i ospałością swych współbraci. Ludzie, rzuceni na to misterne tło artystyczne, żyją, poruszają się, oddychają, uderzają swoją indywidualnością. Z ramy poetycznej wyskakuje tryskająca ogniem namiętności wspaniała postać lorda poety, który żył dla pieśni, a umarł dla wolności, żywem słowem przemawia do nas Tomasz Moore, czarowny piewca zielonego Erynu. Śmiały profil pani de Staël ukazuje nam w swych klasycznych liniach jeden z najśmielszych umysłów naszego stulecia. Brandes tak samo chyli czoło przed królestwem geniuszu, jak przed potęgą talentu. Następują typy Balzaca, ojca powieści współczesnej, i Prospera Merimée, tego subtelnego i oryginalnego sceptyka francuskiej literatury, nareszcie Kierkegaarda, ukochanego od lat młodzieńczych bohatera Brandesa, ojca duchowego nieledwie, któremu poświęca obszerne studyum, najlepsze może jakie napisał, nacechowane gruntownemi wiadomościami z dziedziny filozofii i psychologii, zmysłem krytycznym, dzięki któremu maluje nam człowieka z jego namiętnościami i myślami, z pobudkami tłomaczącemi jego zasady i czyny, z całą jego subjektywną, nerwową, myślącą i śmiałą naturą. Jak nitka czerwona przebiega przez książkę pewne moralne pokrewieństwo, łączące młodego pisarza ze spoczywającym już w grobie starym, zmęczonym i nieszczęśliwym myślicielem.

Ulubionym tematem Brandesa jest walka prądów społecznych i umysłowych, pokonywających się wzajemnie w gorączkowym wyścigu, którego metą — postęp. Całe więc życie jego, zarówno duchowe, jak praktyczne, zajęte jest i wypełnione tą jedną ideą przewodnią rozwoju i wolności myśli; dla niej pracuje on jak wierny i powolny sługa czynem i piórem.

W wielkich miastach europejskich, gdzie życie płynie burzliwą falą, niszcząc i tępiąc wszystko, co już przestało być użytecznem lub przyjemnem, zdarza się często widzieć dzielnice całe opróżnione, rozebrane, zburzone, dla zrobienia miejsca nowym zupełnie arteryom komunikacyi, gmachom, pałacom, ogrodom, do teraźniejszych potrzeb i wymagań fizycznych i moralnych społeczeństwa lepiej zastosowanym, niż dawne uliczki i budynki. Pustkowia takie, czyli raczej rumowiska, gdzie z jednej strony leżą jeszcze kupy gruzów a z drugiej już widać sztandary do nowo mających się wznosić murów; gdzie jedni wywożą jeszcze szczątki dawnych budowli, a drudzy już przygotowują materyały do przyszłych pomników, przypominają mi zawsze wieloma rysami podobieństwa chwilę obecną pod względem moralnym, społecznym i literackim. Tu jak tam dużo jest jeszcze ruin nieuprzątniętych, sterczą jeszcze uparcie nagie ściany budynków, które już dawne zadanie swoje spełniły i tylko bezużytecznie miejsce zajmują. Rusztowania do przyszłych gmachów przygotowane, fundamenty nawet podłożone, drogi nowe wytknięte, potrzeba tylko ludzi energii i pracy, potrzeba rąk i inteligencyi, aby powstała dzielnica wspaniała, gdzieby ludziom było swobodnie się poruszać, gdzieby myśl miała dosyć przestrzeni i powietrza do rozwoju i gdzieby się swoich dawnych ciasnych zaułków rumienić już nie potrzebowała. Wiele jest jeszcze do uprzątnięcia i wiele do zbudowania, ale plany istnieją, miejsca nie brak, rysunki gotowe, a wiek nasz XIX od tego wiekiem pracy nazwany będzie, że myślące dzieci jego za zadanie sobie biorą znoszenie cegiełki po cegiełce, materyałów do mających się wznieść granitowych pomników wiedzy i postępu. A teraz gdy spytamy czem się głównie odznaczył Jerzy Brandes w zastępie ludzi czynu i myśli, co wystawił pożytecznego i trwałego, a co zniszczył niezdolnego już do życia i w czem leży największa jego zasługa, odpowiedź będzie następująca: Nie jest on żadnym wielkim reformatorem, nie stworzył żadnego oryginalnego systematu filozoficznego, nie wzbogacił literatury europejskiej ani jednem skończonem arcydziełem, płodem poetycznego natchnienia, ale jest sumiennym, prawym, namiętnym, nigdy nie wahającym się apostołem postępu i przedstawia nam się jako osobistość wybitna i potężna pracą, energią, miłością dla ideałów światła i prawdy, życiem poświęconem ideom wolności i niezależności duchowej. W Brandesie cenimy człowieka, który nigdy nie szedł ścieżką przez tłumy wydeptaną, ale zawsze szukał sobie dróg nowych, a sił swych używał z prawdziwem poświęceniem na łamanie przeszkód w tym pochodzie. Cenimy w nim pisarza, który w młodzieńczym jeszcze zupełnie wieku r. 1869 pisał w liście do Andersena: „Pragnąłbym szczerze, aby moje zdolności na coś się ojczystej literaturze przydały; abym ziemi tej nie opuścił, nie zostawiwszy na niej śladu swego istnienia.“ Celu tego dopiął i dziś już zaszczytne miejsce zajmuje w rzędzie tych, co świat podbili inteligencyą i panowanie nad umysłami sobie zapewnili. Bo jak powiada nasz poeta:

I ten zwycięzcą kto da najwięcej światła od siebie.

Jadwiga Krausharowa.

ELEKTRYCZNOŚĆ W PRZEMYŚLE.

II.

Jeżeli odkrycie taniego sposobu wytwarzania elektryczności napotyka w praktyce tak wielkie zapory, to natomiast wynalazki drugorzędne w tej dziedzinie mają więcej powodzenia.

Zbiornik elektryczności Faure'a (*accumulateur d'élecricité*) jest jednym z najszczęśliwszych pomysłów obecnej chwili. Wynalazek ten narobił wiele wrzawy przed kilkoma miesiącami w Paryżu i w Londynie. Oczekując szczegółowych objaśnień i wyniku prób, z tym przyrządem wykonanych na obecnej wystawie elektryczności w Paryżu, ograniczamy się tutaj na pobieżnem wskazaniu jego zasady. Ma to być naczynie napełnione wodą (prawdopodo-

bnie zaprawioną kwasem siarczanym), w której są zanurzone dwie blaszki ołowiane, niedotykające się i zwinięte w wężownicę, dla powiększenia powierzchni skupiającej elektryczność. Blaszki te są pokryte żółtym tlenkiem ołowiu, (PbO). Połączywszy za pomocą drutów dwie te blaszki ze źródłem elektryczności (stosem elektrycznym lub maszyną Gramma), wywołamy rozkład wody: tlen, zbierający się na biegunie ujemnym, łączy się z tlenkiem ołowiu i tworzy czerwony proszek zwany minią (Pb_3O_4), wodór zaś idzie do bieguna dodatniego, zabiera tlen wchodzący w skład tlenku ołowiu i tworzy z nim wodę, pozostającą w zbiorniku elektryczności, w miejsce tej ilości wody, która dopiero co była rozłożoną. Ten drugi biegun, oswobodzony z tlenku ołowiu, pozostaje czystym ołowianym.

Skoro tylko rozkład tlenku ołowiu, znajdującego się na tym ostatnim biegunie, skończył się, naówczas wstrzymać należy przypływ elektryczności, odpinając druty od źródła; gdyż w razie przeciwnym wydzielający się wodór z rozkładu wody, pod działaniem prądu elektrycznego, uchodziłby bezużytecznie w górę, wody ubywałoby w zbiorniku i manipulacya byłaby utrudnioną. Jeżeli teraz druty odpięte, które komunikowały zbiornik Faure'a ze źródłem elektryczności, złączymy ze sobą, zamykając w ten sposób okrąg (*circuit*) zbiornika, naówczas tworzy się w nim zjawisko odwrotne dopiero co opisanemu. Nowozłożone ciała, woda i minia, skupiają się obok swych biegunów elektrycznych, wodór, zaś przeważający w pierwszej i tlen w drugiej, sprowadzają wytwarzanie się prądu elektrycznego polaryzacyjnego, to jest odwrotnego prądowi poprzedniemu.

Ilość wody, która była w działaniu podczas naładowywania zbiornika, rozkłada się przy odpływie elektryczności, a ponieważ prąd polaryzacyjny jest odwrotnym, więc tlen rozłożonej wody osadza się na biegunie ujemnym (który przy naładowywaniu był dodatnim) i tworzy tlenek ołowiu, wodór zaś dąży ku biegunowi dodatniemu (który poprzednio był ujemnym), łączy się z tlenem wchodzącym w skład minii i wytwarza wodę, zostającą w zbiorniku na miejscu tej, ktora przedtem była rozłożoną. Zjawisko trwa dotąd, póki oba bieguny nie zostaną sprowadzone do swego pierwotnego stanu, t. j. do tlenku ołowiu, którym oba były pokryte.

Zbiornik elektryczności Faure'a jest podobny do takiegoż zbiornika Plantégo, który był wynaleziony przed dwudziestu laty. Różnica w ich składzie jest niewielka, lecz w działaniu rzecz ma się inaczej.

Zbiornik Plantégo różnił się od zbiornika Faure'a tem, że bieguny elektryczne były ołowiane i niepokryte tlenkiem ołowiu, więc przy rozkładzie wody tworzyła się na biegunie ujemnym minia, w okolicach zaś bieguna dodatniego wydzielał się wodór, skutkiem czego wody ubywało w zbiorniku i przyrząd nie był praktycznym. Zasługa jednakże jest wielka Plantégo, gdyż jego prace utorowały drogę Faure'owi do urzeczywistnienia swego zbiornika.

Pozostaje tylko przekonać się doświadczalnie, co prawdopodobnie uskutecznionem będzie na obecnej wystawie elektryczności w Paryżu, czy prądy polaryzacyjne, które zbiornik Faure'a dostarcza, posiadają jednostajne natężenie. Jest to kwestya bardzo wielkiej doniosłości, gdyż w takim razie prądy te mogłyby być spożytkowane, na wzór zbiorników powietrza ścieśnionego, jako motor w bardzo wielu okolicznościach, nawet do poruszania tramwajów, dorożek, powozów i t. p., przy czem maszyn parowych stosować nie można, gdyż drgania, zbyt szkodliwe dla tych maszyn, nie stanowią niedogodności przy motorach elektrycznych.

Wobec takiego przypuszczenia, koleje elektryczne Siemensa nie miałyby najmniejszej przyszłości, gdyż na każdej lokomotywie elektrycznej dogodniej byłoby umieścić zbiornik Faure'a, niż przeprowadzać szynę specyalną, prowadzącą prąd elektryczny na przestrzeniach, które pociąg ma przebiegać.

Zamiast umieszczenia osobnego źródła elektryczności, przy najmniejszemjej zapotrzebowaniu, lub przesyłania prądu na znaczne odległości za pomocą drutów, możnaby zbiornik elektryczności naładowywać w fabryce głównej i przenosić do miejsc zużycia, jak się to praktykuje w przypadku zastosowań ścieśnionego powietrza.

Najdonioślejsze jednakże zastosowanie, znalazłby mógł zbiornik Faure'a przy zamianie pracy mechanicznej sił natury na elektryczność i spożytkowywaniu jej, w skutek możności przechowywania wytworzonej siły elektrycznej, oraz umożebnienia, w pewnych granicach, jej podzielności.

Ogrzewanie, suszenie, gotowanie, możnaby również przy pomocy zbiornika Faure'a wykonywać bardzo korzystnie, za pomocą np. ogrzewania powietrza prądem elektrycznym.

Światło elektryczne zapewniłby mogło również zbiornikom Faure'a bardzo rozległe zastosowanie, gdyż każda świeca, zamiast komunikować się ze źródłem elektryczności, mogłaby mieć swój oddzielny zbiornik elektryczny. Dozwoliłoby to całkowicie urzeczywistnić podzielność światła elektrycznego i rozpowszechnić je nawet w mieszkaniach prywatnych, czego dzisiaj, praktycznie mówiąc, dokonać nie można. Aby rzecz tę wyjaśnić, musimy nadmienić, że istnieje bardzo wiele systematów oświetlania elektrycznego, posiadających swe zalety i niedogodności. I tak, pierwiastkowe światło elektryczne, polegające na spaleniu dwóch kawałków węgla, wymaga regulatora, za pomocą którego można zmieniać odległość tych węgli, stosownie do zmiany natężeń prądu elektrycznego, który nigdy nie jest stały, szczególniej w przypadku wydobywania go ze stosu. Prąd elektryczny, użyty do palenia rzeczonych węgli, przyciąga jednocześnie elektro-magnes i reguluje w ten sposób oddalenie od siebie palących się węgli. Jeżeli prąd zwiększa swe natężenie, wówczas zbroja elektro-magnesu jest więcej przyciągana i za pomocą odpowiedniego mechanizmu węgle są odsuwane. Gdy prąd słabnie, węgle się zbliżają.

Wszystkie regulatory są oparte na jednej zasadzie, różnią się tylko mechanizmem, stosownie do potrzeb. I tak np., w latarniach morskich potrzeba stałego natężenia światła, więc mechanizm regulatora jest odmiennym od podobnegoż mechanizmu, używanego przy oświetlaniu elektrycznem okrętów, gdzie żądamy możebności kierowania światła w różne strony, ztąd konieczność obracania regulatora w różnych kierunkach i t. p. Mechanizm zawikłany tych przyrządów psuje się bardzo często, zużywa bardzo wiele elektryczności, wymaga oddzielnego źródła elektrycznego dla każdego regulatora, a zatem w tym razie podzielność światła jest niemożebną.

Jabłoczkow usunął regulatory ze światła elektrycznego, a z nimi wszystkie wyszczególnione niedogodności, oraz urzeczywistnił, w pewnych granicach, podzielność światła. Wynalazek Jabłoczkowa jest więc znacznej doniosłości. Szczęśliwa myśl umieszczenia dwóch węgli równolegle obok siebie i oddzielenia ich za pomocą warstwy odosobniającej dozwala utrzymać odległość stałą między węglami. Warstwę odosabniającą robiono początkowo z ciasta koalinowego, lecz ponieważ stopienie go zużywało dużo ciepła, a zatem i elektryczności, więc wynalazca zastąpił je ciastem przygotowywanem z gipsu i siarczanu baryty, który pod działaniem prądu ulatniając się, pali się w warunkach daleko korzystniejszych. Wkrótce potem wprowadzono bardzo wiele ulepszeń do systemu Jabłoczkowa. Profesor Jamin przyczynił się także do wydoskonalenia świecy Jabłoczkowa, zaś sam wynalazca pracuje ciągle nad nowemi zmianami.

Światło Jabłoczkowa zużywa jednego konia parowego na jedną świecę i pozwala wstawić w jeden okrąg elektryczny dowolną ilość świec, które będą się paliły, wytwarzając tyle prawie światła, jak gdyby każda świeca komunikowała się z oddzielnem źródłem elektryczności; otrzymane wszakże natężenia wszystkich świec są jednakowe. Nie można więc w systemie Jabłoczkowa palić za pomocą jednego źródła elektryczności kilku świec, dających różną moc oświetlającą, co nie rozwiązuje całkowicie kwestyi podzielności światła.

Oprócz tego, samo światło, żeby nie zostawiało nic do życzenia, wymaga: 1) prądów elektrycznych jednostajnego natężenia, oraz, 2) jak największej czystości ciała palącego się w lampie. Maszyny Gramma czynią zadość pierwszemu warunkowi, o ile to jest możebnem w praktyce. Drugiemu warunkowi dotąd jeszcze nie zdołano zadość uczynić w zupełności. To też szukano sposobów wytwarzania światła, bez spalania węgla. Lampa Lodygina, wynaleziona w 1872 r. polega na tem, że węgiel osadzony między dwoma dobrymi przewodnikami elektryczności, umieszczony jest w kuli szklannej zamkniętej. Prąd elektryczny rozgrzewa do białości węgiel, powietrze znajdujące się w lampie rozkłada się i palenie nie ma miejsca, lecz tylko wydzielanie się światła. Lampy te są kosztowne, lecz dogodne w użyciu.

Edison skopiował swą lampę z tego wzoru, nadając węglowi kształt litery U i otrzymując go przez spalenie cienkiej tektury.

Również Reynier wprowadził nowe ulepszenia, które mają podobno usunąć wszystkie niedogodności innych lamp.

Gaspar, z Liége, umieścił światło elektryczne pod podłogą i odrzucał je odpowiedniemi otworami na sufit, za pomocą reflektorów, co daje światło bardzo znośne dla wzroku, bez zbytecznych zmian natężenia. System ten ma być praktycznym do oświetlania wielkich sal.

Spodziewać się należy, że metodyczne porównanie różnych lamp elektrycznych, którego dotychczas nie zrobiono, będzie dokonane na obecnej wystawie w Paryżu— i że próby, wykazujące względne ich wartości, sprowadzą nowe ulepszenia oraz praktyczność światła elektrycznego.

To, co dotychczas powiedzieliśmy o źródłach, zbiornikach i o świetle elektrycznem, odnosi się do najżywotniejszych kwestyj z dziedziny przemysłu elektrycznego. Inne zastosowania mniej budzą ciekawości, gdyż są już znane; wspomnimy o nich jednak pobieżnie.

W dziedzinie telegrafów zasługuje na uwagę urządzenie, pozwalające przesyłać po jednym drucie kilka depesz odrazu. Urządzenie to nie jest jeszcze dostatecznie wydoskonalone i zarządy telegrafów wahają się je zaprowadzać.

Kwestya telegrafów podmorskich przez prace uczonych angielskich została już stanowczo rozwiązaną. W telegrafach tych używane są teraz prądy elektryczne nadzwyczajnie słabe, niezdolne do wprawiania w ruch nawet najczulszych przyrządów telegraficznych, a sygnały, przesyłane linami podmorskiemi, tworzone są przez zalewdwie dostrzegalne ruchy igły magnesowej galwanometru, zaopatrzonej w zwierciadełko. Jeszcze słabsze prądy stosowane są przy komunikacych telefonowych.

Obok telefonów wchodzą także w dziedzinę zastosowań elektryczności: mikrofony i megafony, mające na celu wzmocnienie dźwięków telefonowych. Działanie tych przyrządów jest niepewne, pozostawiają one przeto wiele do życzenia.

W zakresie galwanoplastyki elektryczność oddaje także usługi, a zwłaszcza jej zastosowanie do rytownictwa i fotografii obiecuje względny pożytek i spodziewać się należy wielu nowych ulepszeń w tej gałęzi po obecnej wystawie elektryczności w Paryżu.

Antoni Sękowski
inżenier cywilny.

LIBERUM VETO.

Potwierdzenie domysłu. — Sędziowie pokoju przed trybunałem *S. Petersburskich Wiedomosti.* — Nauczyciel, któremu nie pomógł egzamin państwowy. — P. Gloger zapewniający skarbowi państwa oszczędność. — Komisarze włościańscy. — Ciekawe odkrycie w *Tyg. Rolniczym.* — Tajemniczość obrządków w Tow. Kredytowem Ziemskiem. — Patryarchat własności większej nad drobną i średnią. — Jej parada w prasie. — Resursa literacko-artystyczna. — Kalendarz dla izraelitów wydany przez nieprzyjaciela żydowskiej odrębności. — Walka cietrzewiów.

Gazety rosyjskie, objaśniając wieść o wprowadzeniu egzaminów państwowych, nadają jej wykład zgodny z naszem przypuszczeniem. Mianowicie sądzą one również, że właściwie wprowadzone będą nie egzamina, bo te istnieją, ale obowiązki składania ich przez ludzi, sprawujących służbę publiczną a wolnych nieraz od średniego nawet ukształcenia. *S. Petersburskija Wiedomosti* radeby podciągnąć pod pewien *census* umysłowy sędziów pokoju, którzy „w wielu miejscach zdobyli sobie smutną sławę. Zdarzały się wypadki — powiada to pismo — że sędziowie pokoju wydawali wyroki..... śmierci; że na czele wojsk przebiegali swoje okręgi i t.p. Nierzadkie też bywały przeniewierzenia pieniężne. Przeszłej np. zimy na ławie oksarżonych petersburskiego sądu okręgowego zasiadało trzech sędziów pokoju, obwinionych o zmarnowanie powierzonych im depozytów." Jeżeli nie w całości, to co najmniej w połowie *S. Petersb. Wiedomosti* mają zupełną słuszność. Bo chociażby nawet egzamin nie nauczył przyszłego kapłana Temidy, że w jej przykazaniach obowiązuje również siódme, to w każdym razie nauczy go, że sędzia pokoju nie ma prawa ani wydawać wyroków śmierci, ani odbywać pochodów na czele wojska.

Że egzaminy państwowe nie wytapiają z charakteru moralnych skażeń, mamy aż nadto wiele potwierdzeń. W jednem z gimnazyów, nauczyciel łaciny w niższych klasach połowę swych lekcyj poświęca na łżenie prasy postępowej. Zważywszy, że dzieci, słuchające tych wymysłów, nie przyjmują nawet biernego udziału w walkach literackich; że nauczyciel powinien je uczyć, nie podburzać; że szkoła jest przybytkiem niezależnego od bieżących sporów wychowania, nie zaś bezpiecznem polem waleczności bez przeciwnika i upustem zapienionych gniewów osobistych — zapytać wolno, czy ów nauczyciel, napadając tych, którzy jego bohaterstwo lekceważą i często o niem wcale nie wiedzą, nie krzywdzi tych, którzy są przymusowymi jego słuchaczami? Nie dość na tem. Każdy urzędnik, polak, winien być podwójnie cnotliwym: za siebie i swoje społeczeństwo, ażeby błądząc jako jednostka, nie dostarczał niebezpiecznych dowodów przeciwko ogółowi. Jeżeli zatem ów p. nauczyciel, którego szczególnych znaków rysopisu tu nie podaję, jest chociaż odrobinę *sapiens*, powinno mu to być *sat*....

Daleko radykalniej niż *S. Petersb. Wiedomosti* postępuje warszawska *Niwa*, w której p. Gloger, przejęty myślą dokonywanych obecnie przez rząd oszczędności państwowych, już nie radzi podciągnąć komisarzy włościańskich pod egzamina państwowe, ale znieść zupełnie ich posady w Królestwie Polskiem, z następujących ważnych powodów. Władz tych, na których utrzymanie państwo ponosi znaczne koszta, nie uważał nigdy rząd za instytucye stałe i wieczyste. Siedemnastoletnie ich istnienie, zdaje się, przekroczyło już termin pożądany. Włościanie w Królestwie Polskiem, z dniem ukazu 2-go marca 1864 roku, stali się całkowitymi dziedzicami przyznanej im ziemi; następnie wszystkie ich grunta zostały przez jeometrów rządowych pomierzone, okopcowane, plany komisyom i włościanom doręczone i spory gminne rozstrzygnięte. Stan włościański jest z innymi porównany, a nawet otrzymał przywileje. Zachodzi więc ważne ze względu na skarbowość państwową pytanie: czy komisye włościańskie i urzędy komisarzy powiatowych do spraw włościańskich są dziś tak samo niezbędne, jak były po roku 1864? Jeżeli są niezbędne, w takim razie nie przestaną być potrzebnemi nigdy, ponieważ stosunki dzisiejsze włościan, przy tych samych warunkach i prawach trwać mogą i będą trwały bez końca. Żądać od pp. komisarzy, aby popierali dobrowolne układy o zamianę serwitutów, a tem samem usuwali ostatnią racyę bytu swego urzędowania, byłoby żądać za wiele. Gdyby dopomogli do zamian dobrowolnych i usunięcia służebności, rząd zwinąłby posady, które stanowią dziś najwygodniejszy sposób dobrze płatnego urzędowania. Tym sposobem stan przejściowy, wbrew zamiarom rządu, przemieniony jest na trwały, ale chroniczny. Po latach siedemnastu skarb utrzymuje w Królestwie tak samo 85 pp. komisarzy do spraw włościańskich, tyluż ich sekretarzy i jeometrów, jak w roku uwłaszczenia włościan. Nie wymaga już dziś tego potrzeba obrony praw włościańskich, bo na cóż byłoby w takim razie sądownictwo i administracya krajowa, którym podlegają wszystkie stany bez wyjątku? Jeżeli sądownictwo i administracya, pomimo zupełnego zreformowania, nie posiadają dostatecznej rękojmi dla obrony praw stanu włościańskiego, w takim razie i inne stany potrzebowałyby także oddzielnych instytucyj dla swego bezpieczeństwa. A co do serwitutów, praktyka udowodniła wszędzie, że włościanie nietylko sami pilnują praw najlepiej i najmniejszego nie dozwolą w nich zrobić sobie uszczerbku, ale nadto prawa te wszędzie samowolnie rozszerzają, przeciw czemu działanie pp. komisarzy okazuje się najczęściej bezskutecznem.

Z drugiej strony, jeżeli bezstronnie spojrzymy w naturę władzy komisarskiej, łatwo przekonamy się, że urząd pomieniony nastręcza tylko wątpliwą racyę bytu. Komisarz stanowi pierwszą instancyę, ale nic nie decyduje, bo od każdej jego decyzyi obie strony apelować mogą do komisyi włościańskiej, która jest z kolei drugą instancyą, a przejściową do trzeciej i ostatniej w Petersburgu. W każdej sprawie obie strony zyskałyby niezmiernie na skróceniu procedury, gdyby wprost udawać się mogły do instancyi decydującej, to jest drugiej, czyli żeby pierwsza nie istniała. Włościanie, którzy przez lat kilka popełniają nadużycia, nim dla ich sprawdzenia przybędzie na miejsce komisarz, nabierają gruntownego przekonania, iż ich samowola i pretensye stały się prawem słusznem i wiekuistem.

„Pp. komisarze — dodaje do tego wywodu *Gaz. Warszawska* — tak rzadko wyjeżdżają na czynności w swych powiatach, czas główny poświęcając nie wspólnego z tą czynnością niemającym zajęciom, jak np. własnemu gospodarstwu na folwarkach nabytych po proboszczach, do których nabycia prócz nich nikt nie był dopuszczany — że śmiało potwierdzić możemy zdanie p. Glogera, iż jeden energiczny urzędnik komisyi włościańskiej, gdyby ta była pierwszą instancyą, mógłby zastąpić wszystkich razem w gubernii komisarzy. Obowiązek dzisiejszy pp. komisarzy wysyłania zawiadomień o terminie przyjazdu (który zresztą, jak to naocznie przed kilku miesiącami mieliśmy sposobność sprawdzić w jednym z powiatów zawiślańskich, z dziwnem lekceważeniem dla całych gromad wiejskich, od pracy na dany dzień do kancelaryi gminnej odrywanych, bynajmniej jak należy nie jest przestrzegany) mógłby przejść na władzę administracyjną; korespondencyę z wójtami ułatwiać może naczelnik powiatu. Protokóły graniczne sporządzają i dzisiaj jeometrowie rządowi do spraw włościańskich, a decyzye komisarskie w razie sporów są tylko wyciągami z ich planów i regestrów pomiarowych. Wszystko to mógłby dopełnić, przy pomocy tego samego jeometry, urzędnik wysłany z zarządu gubernialnego i protokół wprost przesłać pomienionemu zarządowi do spraw włościańskich w gubernii."

Jakkolwiek całe to rozumowanie wypłynęło z pod pióra własności większej a przynajmniej oddycha wyłącznie jej interesami i nie dotyka zupełnie korzyści włościan— co jest nader osłabiającym jego siłę błędem, wskazuje niewątpliwe źródło... oszczędności państwowej. Dajemy też za p. Glogerem i jego projektem — kreskę bez sporu.

Pod jednym tylko warunkiem: niech p. Gloger odczyta artykuł w *Tygodniku Rolniczym* („De omnibus rebus") i niech również *sine ira et studio* przemówi za zniesieniem pewnych obyczajów w Tow. Kredytowem Ziemskiem. Szanowna ta instytucya, wytłomaczywszy sobie, że jej działalność nie ma żadnego związku z interesami ogółu i wiadomą być winna tylko wrodzinnem kółku paszów własności większej, otoczyła się tak nieprzebitą tajemnicą, iż nawet swych najważniejszych uchwał nie uważa za stosowne zdradzać przed prasą. Dzięki jednak reporterskiej zręczności *Tygodnika Rolniczego*, dowiadujemy się, że od pewnego (niewiadomego) czasu Towarzystwo obraduje nad kodyfikacyą swych ustaw i że... „zgniło się dzieje w tem państwie duńskiem." A naprzód dla zażegnania wszelkiej opozycyj dopiero na dziesięć dni przed rozpoczęciem posiedzeń doręczono stowarzyszonym projekt owej kodyfikacyi. Kto zna naszego obywatela ziemskiego, niewprawnego w przenikanie długiego rzędu paragrafów; kto zna trudności przerobienia myślą takiego materyału, ten nie weźmie za złe pp. radcom, że przybyli na obrady nieprzygotowani i losy swej nawy musieli powierzyć kilku wtajemniczonym w sprawę żeglarzom. Jaką zaś busolą kierują się owi żeglarze, świadczy uchwalony census wyborczy, dopuszczający do tego prawa jedynie stowarzyszonych, którzy posiadają pożyczkę przynajmniej 3,000 rs. „Tym sposobem — mówi *Tygodnik* — cały zastęp nietylko drobnej, ale nawet średniej własności pozbawiony został prawa pilnowania swych własnych interesów finansowych i oddany pod patryarchalną opiekę właścicieli większych obszarów ziemi." Postanowienie to usprawiedliwiono faktem, że kiedyś w płockiem wybrany został deputat, niepogodzony z ustawą karną, z którą podstawienia i operacye symulacyjne pp. radców wybornie się godzą. No, dziś już wiemy, co za świątynia wznosi się przy ulicy Mazowieckiej. Jej bramini bardzo słusznie robią, zakrywając korcem swoje wielkie czyny i nie dopuszczając prasę do podniesienia tego korca. Bo nużby ziemianom naszym otworzyła oczy i powiedziała: patrzcie, wy, którym Bóg nie dał 3,000 rs. pożyczki, jak was za nosy wodzi możnowładztwo, jak ta pańsko-massońska loża, która powinna ogarnąć możliwie najszerszy zastęp posiadaczów ziemi, ścieśnia swe koło oligarchicznym promieniem i widzi śród was więcej

kryminalistów dla tego, że macie mniej od jej wielkich mistrzów pieniędzy.

Z drugiej strony przyznać trzeba, że prasa nasza nie objawia zbytniej ciekawości do poznania tajemnic Tow. Kredytowego. Ona woli przypuszczać szturmy do dyrekcyi teatrów i przerażać Polskę dymisyą p. Święckiej lub obliczać złoto w kasie zachowawczej a miedź w postępowej. Teorya „garstki“ i „większości“ naszego dziennikarstwa znowu przedefilowała po kilku pismach. Jeden z wielu, z których każdy sądzi, że gdyby kulę ziemską złożył na jednej szali, a sam usiadł na drugiej, zpewnością by ją przeważył — przedstawił znowu w *Kur. Warszawskim* ten stosunek miliona naszej prasy do jej „maleńkiej części.“ Gdyby sama ilość rostrzygała, czulibyśmy się upokorzeni; ale dopóki korzec ulęgałek mniej wart, niż dwa ananasy, i dopóki worek pakuł mniej waży, niż garniec ołowiu, jesteśmy spokojni od strony p. Ad (ama?) G (oraja?).

Mimo lekceważenia dla owej „drobnej garstki,“ co do której nawet ks. Bismark w swoim kraju fatalnie się przerachował, *Gazeta Warszawska* gotowaby i ją wprowadzić do projektowanej resursy literacko-artystycznej. I owszem może tam oblicżylibyśmy się ściślej, a choćbym miał oślepnąć od blasku geniuszów prasy konserwatywnej, pragnąłbym spojrzeć zbliska w te słońca.

Na nieszczęście wieść o resursie literackiej zmartwychwstaje corocznie i znowu się do grobu kładzie. Tak będzie i teraz, jeżeli jej nie wskrzesi ktoś, kto drogi zakładania podobnych towarzystw zna i bez potknięcia się chodzić po nich umie.

Dla mnie drogi te równie są nieznane, jak obcą logika „zbliżenia mieszkańców jednej ziemi,“ która popchnęła p. J. Goldszmita do wydania osobnego *Kalendarza dla izraelitów*. Bo jeżeli wydawca przytoczone zdania Kraszewskiego: „Jestem stanowczo przeciwny osobnym szkołom, instytucyom i *wszystkiemu*, co wyłącza, odosabnia i rozdział dawny uwiecznia i utrwala; potrzeba zlewać, łączyć, równać, a nie — utrwalać odosobnienie na różnicy wyznań oparte“ — jeżeli, mówię, p. Goldszmit podziela tę zasadę, to jakim sposobem odczuł potrzebę wydania kalendarza *dla izraelitów*, w którym nowy rok zaczyna się według rachuby europejsko-polskiej 24 września, nazywa się po hebrajsku *Rosz-haszana* a jest z kolei 5,642-im i w którym p. K. Herz przy pomocy Kraszewskiego grzmi na odosobnianie żydów? Zagadka ta jest tem trudniejszą do rozwiązania, że żydzi, którzy mogą czytać artykuły p. Orzeszkowej i poezye p. Gomulickiego, mogliby również poprzestać na ogólnym kalendarzu i rachować czas od 1 stycznia.

W chwili, gdy to piszę, rozlegają się jeszcze ostatnie strzały walki o nazwę *tramwaju*. Aż z Wołynia przybiegł do *Echa* p. Kajetan z propozycyą nazwania kolei konnej *żelaźnicą*. Strudzeni w boju rycerze, posłuchajcie: przysłowie polskie mówi: jak zwał, to zwał, aby dał. Dotąd inni wynajdywali, a myśmy nazywali. Czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy teraz wynajdywali, a inni nazywali. Ręczę wam zaś, że gdy wynajdziecie coś pożytecznego, anglicy i francuzi bez ujmy dla swych języków zatrzymają na tem dziele polską nazwę, chociażbyście je ochrzcili — *cietrzewiem*.

Poseł Prawdy.

TEATR.

Poranek dramatyczny p. Adolfa Ostrowskiego. — *Sidła*, komedya w 1 akcie p. Dhormoys, tłomaczona z francuskiego. — *Dwaj nieśmiali*, komedya w 1 akcie pp. Marc-Michel i Labiche, tłom. z francuskiego. — *Deklamacye.*

Wśród pokaźnej liczby talentów aktorskich, zdobiących personel naszego dramatu, p. Adolf Ostrowski zdobył sobie niejeden zasłużony oklask i znaczenie siły twórczej w rozwoju scenicznego ruchu. Talent to istotny a przedewszystkiem nawskróś komiczny. W początkach swego zawodu p. Ostrowski wkraczał nieraz w dziedzinę poważniejszej charakterystyki, ale w miarę wyrabiania własnej oryginalnej techniki wyspecyalizował swą działalność w zakresie ról, którego jest obecnie bardzo dobrym przedstawicielem. Typ mieszczucha, komicznego ojca i zamaszystego szlachcica w grze jego tętni zwykle niepodrobioną komiczną werwą. Indywidualność artysty nie pozwala mu rozwinąć wielkiej rozmaitości zewnętrznego upostaciowania figur; jednakże p. Ostrowski posiada zdolność wydobycia różnic charakterowych za pomocą dobrze obmyślanych odcieni gry, a nadewszystko posiada, szczerze komiczny humor, udzielający się zaraźliwie słuchaczom a niewpadający w jaskrawą i nieokiełznaną szarżę. Dość przypomnieć sobie tylko galeryę stworzonych przez p. Ostrowskiego figur, aby ocenić jak należy zakres jego talentu, niezdumiewający, ale zawsze dość obszerny. Na czele stawiamy pysznie grane we francuskiej komedyi mieszczańskiej role zgryźliwego *safanduły* Fromentala, który tchnie prawdą i komizmem w każdym ruchu i słowie, oraz utuczonego księdza w *Serafinie*, będącego doskonałym typem klerykalnej obłudy, opartej na sybarytyzmie i sobkowstwie. Pierwszy z tych charakterów był w karyerze p. Ostrowskiego punktem zwrotnym, od którego zajął on na naszej scenie wydatne stanowisko. Obok tych ról możnaby ugrupować koło pocieszncyh figur w komedyach francuskich i niemieckich, oraz bogatą panoramę typów swojskich, stworzonych w sztukach oryginalnych.

Z wielką prawdą grany w *Cichej wodzie* Chęcińskiego Gerwazy, który ma „dowcip i dwa domy,“ zamaszysty Ratatyński w *Posażnej jedynaczce*, doskonale skopiowany z gry Panczykowskiego Brzydkiewicz w *Żydach*, zabawny totumfacki i fabrykant perfum w *Czarnokwicie*, nareszcie cały szereg krewkich postaci szlacheckich, granych z werwą—oto jest galerya ról, napiętnowanych wybitnie swojskim charakterem, wykończonych sumiennie i plastycznie.

W ostatnich dniach artysta stworzył w tej kategoryi jedną z najlepszych figur swoich, Gębalińskiego z *Sąsiadów*, który jest pysznym okazem wąsatego zaściankowego krzykacza. Obecnie talent Ostrowskiego znajduje się w najszczęśliwszej fazie rozwoju, tak że śmiało może sięgnąć po role, które w jego rodzaju stanowią najwyższy stopień ambicyi aktorskiej. O ile można wnosić, szekspirowski Falstaff i molierowski George Dandin mogliby w grze jego wcielić się nader szczęśliwie.

Po wielu latach sumiennej pracy artysta zasłużenie otrzymał obecnie poranek benefisowy, na którym przedstawiono dwie nowe jednoaktowe bluetki francuskie, wybrane z prawdziwym smakiem. *Sidła* p. Dhormoys są wytworną sztuką konwersacyjną, polegającą na delikatnych, wypieszczonych odcieniach, wyhaftowaną z koronkowym sprytem. Tego rodzaju porcelanowe cacka wymagają gry prawdziwie francuskiej, subtelnej, której trudnościom w znacznej części podołali p. Tatarkiewicz, jako eleganckl kochanek, i pani Lüde, jako młoda wytworna wdówka.

Daleko więcej zajmującą była pełna humoru, bardzo zabawna a dystyngowana farsetka *Dwaj nieśmiali*, będąca utworem renomowanej firmy Marc-Michel i Labiche, która umiała zawsze osiągnąć komizm prawdziwy bez podejrzanych i swawolnych efektów. Treść sztuczki, jak zwykle w tego rodzaju drobiazgach, jest błaha; ale autorowie z niezmiernym sprytem i zręcznością potrafili wysnuć cały szereg sytuacyj bardzo zabawnych, które biegną żwawo. Przyniosła ona w darze słuchaczom kilka chwil serdecznej wesołości, a grana była koncertowo przez benefisanta i p. Szymanowskiego, którym w drugoplanowych rolach szczęśliwie dopomagała panna Wisnowska i p. Prażmowski. Okrasą tego poranku była deklamacya monodramu Mirona *Sen Tassa*, wykonana przez p. Królikowskiego. Sam utwór, chociaż przeładowany frazeologiją romantyczną, posiada liryczne piękności, które artysta uwydatnił z niepospolitą sztuką dykcyi, rozwinąwszy ogromny zasób uczucia i dramatycznej siły. Z ust panny Deryng zadźwięczał wiersz Konopnickiej *Do kobiety*, którego piękny, chociaż nagi morał artystka oblekła barwami poezyi i żywego uczucia.

S. K.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 5 listopada.

„Im bardziej się starzeję, tem silniej nienawidzę liberałów, a czuję, że się starzeję“ — rzekł niedawno na jednem *soirée* parlamentarnem ks. Bismark i rzekł wielką prawdę. Nadewszystko prawdą jest, że się starzeje. Niezależna prasa europejska dawno mu już to powiedziała, ale on dziś dopiero wierzy. Kanclerz niemiecki zestarzał się od chwili, gdy zamiast wielkich operacyj w polityce zewnętrznej zaczął motać drobne intrygi; gdy zamiast pozostawić sprawy wewnętrzne ludziom doświadczeńszym, zaczął płodzić dziwolągi ekonomiczne; gdy zamiast zmniejszyć narodowi brzemię, dodał do niego nowe ciężary, słowem gdy zaczął kaprysić, złościć się, tupać nogami, przykrawać państwo na miarę swojej woli i wygody, a nadewszystko wichrzyć kraj bezowocną walką ze stronnictwami. Ponieważ zaś żywioły postępowe głównie mu utrudniały przeprowadzenie kaprysów starości, nic też dziwnego, że je coraz bardziej „nienawidzi.“ Ze smutkiem wszakże Bismark przekonał się po obecnych wyborach, że naród tej jego nienawiści nie podziela. Nietylko bowiem pomnożył mu znacznie szeregi wrogów w sejmie, ale nadto usunął od mandatu poselskiego najserdeczniejszych przyjaciół i... krewnych. Dyrektor sławnej rady ekonomicznej radca Bosse, przywódca konserwatystów Varnbüller, duch ś. pomysłów państwowo-socyalistycznych prof. Wagner, nawet najdroższy synek hr. Wilhelm — przepadli. Ile ran otworzyło się w sercu biednego męczennika! Rozgniewany też i zbolały dał hasło, ażeby jego rzesza przy wyborach uzupełniających między socyalnymi demokratami a postępowcami głosowała zawsze za... socyalistą. O, nieba, cóż to się dzieje! Bismark, który stworzył prawa wyjątkowe i małe stany oblężenia przeciw socyalistom, który ich więził, prześladował, kandydatować nie pozwolił, teraz sam tychże samych socyalistów wprowadza do sejmu, i życzy sobie podobno, ażeby byli „silnie reprezentowani!“ Gdzież tu jakiekolwiek zasady, jeżeli nie zaliczymy do nich godła *l'état c'est moi* i manii stawiania na swojem! Tak, ks. Bismark się starzeje. Biedne Niemcy, jeśli on starzeć się będzie zbyt długo!

Szczęśliwa zato Francya, bo Gambetta odmłodniał. Zebrana Izba, wybierając go na tymczasowego marszałka, znaczną większością głosów, wyraziła mu ufność jako przyszłemu kierownikowi narodu na stanowisku ministeryalnem. Rola ta jest dla Gambetty już postanowioną, oczekuje on tylko odpowiedniej pory, ażeby ją podjąć. Tym sposobem, gdy nad Niemcami zachodzi ich wielkie słońce, nad Francyą wznosi się coraz wyżej świeża jutrzenka.

W tumanie uroczystystych przemówień, toastów, powitań, życzeń i telegramów niknął poważne cele pobytu króla Humberta w Wiedniu, jeżeli są jakie. Dotąd przynajmniej gazety, zajęte drogocennemi spinkami i dyademami dostojnych gości, nic godnego uwagi nie wykryły. Jedna tylko z Austryi nowina, że hr. Andrassy ma zostać ministrem spraw zagranicznych. Wszakże niemcy posiadają przysłowie, że „stara miłość nie rdzewieje.“

O PRAWDĘ.

Na odpowiedź p. J. Finkelhausa w przedmiocie projektu ubezpieczenia rozchodów p. Wścieklica nadesłał nam obszerną replikę. Ponieważ spór obu stron zeszedł z gruntu rzeczowego i stał się osobistym, ponieważ ani nie mamy w piśmie naszem miejsca na takie zapasy, ani nie sądzimy, ażeby one przyniosły korzyść czytelnikom *Prawdy*, wyjmujemy więc z owej repliki te jedynie punkty, które bądź rozjaśniają przedmiot, bądź tłomaczą jego rzeczników. I tak p. W. twierdzi:

1) Że p. F. zataił istnienie towarzystw ubezpieczających rozchody, bo w projekcie wyraźnie powiedział, że one „przetrwały zaledwie lat kilkanaście,“ że błędnie nazwał je „drobnemi,“ gdyż rozporządzają milionami, oraz „spekulacyjnemi,“ gdyż w ich zarządach zasiadają członkowie Izby i senatorowie; że w osnowie projektu przyznaje sobie autorstwo myśli zasadniczej, której zastosowanie do państwa jest pomysłem nader łatwym.

2) Zarzut zapożyczenia $^9/_{10}$ swych cytat od Roschera p. W. tak odpiera:

a) trzech z przytoczonych autorów (Haushofera, Blocka i Dühringa) Roscher nie przytacza wcale;

b) na Blanquiego powołuje się raz bez podania źródła i w kwestyi niemającej żadnego związku z przedmiotem sporu;

c) Smitha również nie przywodzi w tym przedmiocie.

Natomiast p. F. — według p. W. — początek wstępu w projekcie wziął od Hugona, porównanie o młocie w ręku dziecka (ze zmianą) od Roschera, cały zaś projekt z reklamy *Soci. d. Coup. Com.*

3) P. W. utrzymuje, że z żadnych rad prywatnych p. F. nie korzystał i żadnych nie potrzebował.

4) Że p. F. w nadziei wzbogacenia wiedzy popełnił błędy, gdyż:

a) proch był dwa razy wynaleziony — pierwszy raz na 1,000 lat przed Schwartzem w Chinach;

b) stopa dyskontowa w Anglii nie jest 1—1½%, lecz najmniej 2½ do 4 a nawet do 5%;

c) anglicy nie potrzebują czekać na zrealizowanie obligacyi banku ubezp. rozch. lat kilkaset, gdyż termin General Exp. Comp. wynosi lat 75.

Ponieważ p. W. W. szło nietylko o rzecz, ale i osobę autora projektu, zaznaczamy więc dla ścisłości tego streszczenia, że wostrych przycinkach nie pozostał przeciwnikowi dłużnym...

Ponieważ nadto p. Finkelhaus, odmawiając słuszności tym zarzutom, nie uważa za stosowne prowadzić dalej bezowocnego sporu, więc pismo nasze dla tej sprawy zamykamy.

KRONIKA BIEŻĄCA.

Sprawy społeczne. Towarzystwa wzajemnej pomocy we Francyi, mające na celu szerzenie wśród ludu oszczędności i ułatwienie jej zastosowania, rozwijają się bardzo pomyślnie, wzrastając wciąż w liczbę i bogactwo zgromadzonych w nich kapitałów. W r. 1870 liczba towarzystw wzajemnej pomocy we Francyi wynosiła 6,139 z kapitałem 45 milionów fr.; w r. 1878 liczba ich wzrosła do 6,293 a kapitał — do 86 milionów fr., wreszcie w r. z. 1880 było już 6,525 z kapitałem 90 milionów i 900.000 członków.

— Ustawa projektowanego Towarzystwa opieki nad dziećmi nie została zatwierdzona przez ministeryum.

— Koloniści czescy, osiedli na Wołyniu w znacznej liczbie (przeszło 60,000) odbyli zjazd religijny, na którym postanowiono przyjąć wyznanie husyckie pod nazwą „czesko-braterskiego.“

— W Petersburgu tworzy się Towarzystwo robotników „Błaho raboczych,“ oparte na tem, że każdy składający tygodniowo 15 do 20 kop., w razie nieszczęścia odbierającego mu możność do pracy, oraz na starość, w razie choroby i t. p. otrzyma stałą pensyę od Towarzystwa. Na czele tego przedsiębiorstwa stoi hr. Rostowski.

Szkoły. Minister komunikacyj wydał rozporządzenie, aby na przyszłość rady szkół technicznych przy drogach żelaznych nie wybierały same nauczycieli na posady wakujące.

— W uniwersytecie warszawskim wydano rozporządzenie, aby studenci nie wygłaszali mów na pogrzebach swych kolegów i profesorów.

— Wydział lekarski uniwersytetu warszawskiego przeznaczył dla studentów tegoż fakultetu stypendyów 32 na sumę rs. 5,484. Od opłaty wpisu uwolniono 51 studentów.

— Pierwsze dwie szkoły ludowe przenośne zaczęły działać w siedmiu wsiach okręgu białoozierowskiego gub. petersburskiej.

— Zegarmistrz Kirchner zakłada w Petersburgu szkołę dla zegarmistrzów.

— Wykład nauk w warszaw. szkole handlowej niedzielnej i wieczornej rozpoczął się w niedzielę d 30 października r. b. Tegoż dnia zamknięty został zapis uczniów do tej szkoły.

— Dr. Maryan Baraniecki, privat-docent uniwersytetu, rozpoczął w r. b. wykład geometryi wykreślnej, niezależnie od prowadzonego przezeń seminaryum praktycznego z rachunku różniczkowego i całkowego. Notatki z tego ostatniego kursu są w r. b. litografowane przez studentów.

— Dnia 11 stycznia 1874 r. zapadła uchwała sejmu lwowskiego, żeby wydział krajowy zbadał przyczyny zubożenia ludności wsi i miasteczek w Galicyi. W tym celu wydział krajowy przygotował blankiety z zapytaniami o szczegóły bytu ekonomicznego drobnej własności ziemskiej, które to blankiety rozesłał wszystkim radom powiatowym i gminom. Ściąganie wiadomości szło bardzo mozolnie, tak że w końcu roku 1877 zebrano dopiero 2 500 skryptów, z których mniej niż połowa (1,148) obejmowała odpowiedzi na wszystkie wyłuszczone punkta. Opracowanie ogólnego sprawozdania przygotowane na obecną kadencyę sejmową było także niełatwą rzeczą, ponieważ znaczną część odpowiedzi zamiast żądanych cyfr i faktów zawierała tylko ogadywanie rzeczy. Materyał jednak zebrany rzuca niemało światła na stan ekonomiczny włościan. Rozdrobnienie własności ziemskiej nieraz było przytaczane jako przyczyna niezadawalającego stanu gospodarstw włościańskich Galicyi, przyczem stawiano przeciw temu lepszy byt włościan Królestwa Polskiego, gdzie postanowienie komitetu urządzającego ograniczyło do 6 morgów możność rozdrobnienia. Okazuje się ono istotnie przyczyną, ale jedną z bardzo wielu, upadku gospodarstw włościańskich. Średnia ich rozciągłość wynosi w Galicyi zachodniej 2—8 morgów, w północno-wschodniej 5—12, na Góralach 4—20, w ziemi Sanockiej 5—10, w strefie południowo-wschodniej 10—20. Maximum rozdrobnienia okazuje się w Jasielskiem, gdzie zagrody mniej niż dwumorgowe nie należą do wyjątków. Nie można jednak powiedzieć, żeby dobrobyt włościan szedł w kierunku wprost przeciwnym rozdrobnieniu. W bocheńskiem i tarnowskiem, które pod tym względem ustępują tylko jasielskiemu, byt włościan gospodarzy nie jest gorszy niż na Podolu galicyjskiem, gdzie gospodarstwa są największe. Niedostateczność bydła roboczego utrudnia prawidłowy rozwój gospodarstw włościańskich; sprawozdanie zaznacza ubytek rogacizny, mianowicie wołów, które włościanie coraz więcej zastępują końmi. Ulepszenie narzędzi rolniczych postępuje z wolna, więcej w Zachodniej niż we Wschodniej Galicyi. Cena własności ziemskiej od czasu zniesienia ograniczeń w rozporządzaniu gruntami włościańskimi (1868 r.) ciągle wzrasta, najwięcej w częściach dawnych województw krakowskiego i sandomierskiego, w ziemi sanockiej i na Podolu galicyjskiem. (*G. Warsz.*).

Nauki. Obserwatoryum fizyczne w Petersburgu ogłosiło drukiem tabelę porównawczą mrozów i śniegów w różnych miastach Cesarstwa i Królestwa Polskiego. Przytaczamy z niej kilka cyfr, wskazujących, o ile dni wcześniej niż zwykle (przecięciowo) ukazał się w tym roku:

	Pierwszy mróz o dni	Pierwszy śnieg o dni
W Warszawie . .	24	26
„ Wilnie	24	—
„ Kijowie . . .	27	—
„ Odesie	—	55
„ Rydze	18	—
„ Petersburgu . .	18	20.

— Rada uniwersytetu warszawskiego przyznała p. Józefowi Nusbaumowi studentowi nauk przyrodniczych nagrodę pieniężną za napisaną przezeń rozprawę p. t. *O stosunku organu słuchu do pęcherza pławnego u ryb karpiowatych* i postanowiła rozprawę tę wydrukować kosztem uniwersytetu.

Przemysł i handel. W petersburskiem Towarzystwie dla popierania handlu i przemysłu p. Józef Poznański (warszawianin) przemawiał w przedmiocie agitującego się zawarcia traktatu handlowego pomiędzy Niemcami a Rosyą. Mówca dowodził, że rząd niemiecki zaprowadził cła zbożowe dla tego, aby wymódz zmniejszenie ceł rosyjskich od wyrobów niemieckich. Towarzystwo postanowiło referat p. Poznańskiego przedstawić ministrowi skarbu do użytku.

— Bank polski podniół stopę skupu na 7% a procent od kredytów otwartych na 8%.

— Wedle sprawozdań ogólnych o zbioraah w rozmaitych państwach, urodzaje tegoroczne na Zachodzie nie przewyższają nigdzie zbiorow średnich.

— Kapitał zakładowy Banku Polskiego jest bardzo szczupły, bo wynosi tylko 8 milionów rubli; w skutek tego prezes Banku p. Baumgarten wyjechał do Petersburga dla wyjednania powiększdnia tego kapitału.

— W zarządzie kolei Orłowsko-Witebskiej prowadzą się próby z przyrządem p. Graffio, mającym za zadanie kontrolowanie pociągów kolejowych, wykazywanie zużytego drzewa lub węgli, oleju i t. p.

— W Kijowie fabrykanci tytoniu z powodu uszkodzenia plantacyj przez mrozy podnieśli ceny swych wyrobów o 10%.

— Pisma nasze ogłaszają już program szczegółowy zjazdu przedstawicieli przemysłu i handlu, mającego się odbyć w Moskwie w roku przyszłym podczas wystawy.

— Zamknięcie wystawy przemysłowo-rolniczej w Odessie i rozdanie nagród odbyło się w d. 23 października.

Koło literackie. Dnia 30 z. m. odbyło się we Lwowie, walne zgromadzenie Koła literackiego. Wybrano na prezesa dr. Ksawerego Liskego powtórnie. Zastępcą przewodniczącego został dr. Kubala; członkami wydziału dr. Bernard Goldman, p. Włodzimierz Milowicz, dr. Julian Ochorowicz i dr. Gustaw Roszkowski. Do komisyi rewizyjnej powołało zgromadzenie pp. Wład. Schmidta, dr. Stan. Szachowskiego i Alberta Wilczyńskiego.

Sztuki piękne. W ostatnich czasach wynaleziono sposób przenoszenia kopii obrazów, rysunków, fac-similów, i tp. na drzewo za pomocą fotografii. Otrzymane w ten sposób i wyryte podobizny, w niczem nie ustępują zwykłym drzeworytom, odznaczają się jednak ceną tańszą i daleko większą dokładnością, która szczególniej w kopiach obrazów i autografów jest tak pożądaną.

Literatura polska. *Sprawozdanie rady szkolnej krajowej* o stanie wychowania publicznego w roku szkolnym 1879/80 (szkoły ludowe w Galicyi).

— *Sprawozdanie z czynności towarzystwa pedagogicznego* lwowskiego za rok 1880/81, podane przez zarząd główny.

— *Syrena, kalendarz św.-jański* na rok 1881/82.

— *Ustawa wekslowa powszechna austryacka* z dołączeniem odmian tekstu.

— Wajgel. *Obrazki z przyrody*, 2 tomy.

— Wappler. *Historya kościoła katolickiego.*

— *Wilno*, 12 widoków fotograficznych.

— *Wzory do ćwiczeń w rysunku cyrklowym.*

— Zalewski. *Poszukiwania archeologiczne* w Gostyńskiem.

— Żuliński. *Kilka słów w sprawie higienicznej reformy szkół.*

— *Zbiór wiadomości do antropologii krajowej.*

— Kalinka. *Sejm czteroletni*, tom II-gi, Lwów.

— *Kuryer Codzienny* przeszedł na własność pp. Wacława Rokowskiego oraz Franciszka Wilkońskiego redaktora *Tygodnika rolniczego*.

Literatura niemiecka. Brandes napisał nowe dzieło p. t. *Moderne Geister*, które drukuje się we Frankfurcie. Treść tych nowych wizerunków literackich słynnego krytyka stanowią życiorysy: Milla, Renana, Heysego, Andersena, Fegnera, Flauberta, Paladan-Müllera i Bjoernsena.

— Goetztufer. *Reallexicon der deutscher Alterthümer.*
— Filhes. *Schloss Isenstein*, roman (Breslau).
— Jokai. *Pater Peter*, roman (Budapest).
— Koenig. *Verlassen!* roman (Berlin).
— Palm. *Briefe aus der Bretterwelt*, Ernstes und Heiteres aus der Geschichte des Stuttgartes Hoftheater.
— Proelss. Emanzipirte Novellen (Leipzig).
— Quentel. *Musterbuch für Ornamente und Stickmuster.*
— Schücking. *Wunderliche Menschen*, drei Erzaehlungen.
— Varnbüler. *Buchenheim*, ein Roman (Stuttgart).
— Virchov. *Altes und Neues*, ein Roman (Stuttgart).
— Pawel. *Die literarischen Reformen des XVIII Jahrhunderts.*
— Brodbeck. *Einleitung in die Philosophie.*
— Caspari. *Der Zusammenhang der Dinge*, gesammelte philosophische Aufsätze.
— Hettinger. *Die Krisis des Christenthums*, Protestantismus und katholische Kirche.
— Pelesz. *Geschichte der Union der ruthenischen Kirche mit Rom* von den aeltesten Zeiten bis auf die Gegenwart.
— Schreiber. *Der Talmud* von Standpunkte des modernen Judenthums.
— Schultze. *Die Grundgedanken des Materialismus.*
— Schultze. *Philosophie der Naturwissenschaft.*
— Stende. *Ein Problem der allgemeinen Religionswissenschaft* und ein Versuch seiner Loesung.
— Beck. *Dine Rechtfertigung der Juden* und wahre Loesung der Judenfrage.
— Loewe. *Lehrbuch der Logik* (Wien).
— Neumayer. *Morphologische studien über fossile Echinodermen.*
— Chavanne. *Karte von Central Africa.*
— Schweiger-Lerchenfeld. *Der Orient*, mit 200 Illustrationen.

Literatura francuska. *Monuments de l'art antique.*
— Assolant. *La bataille de Laon* (1814).
— Malot. *Pompon*, roman (Paris).
— Moutepin. *Son Alltesse l'amour* (Paris).
— Ninons. *Le batard*, roman (Paris).
— Rochefort. *Les naufrageurs* (Paris).
— Sirven. *La fille de Nana*, roman de moeurs parisiennes.
— Uzanne. *Les surprises du coeur*, roman (Paris).
— Amans *Les joies du mariages*, poesies.
— Bède. *La telephonie*, histoire, description et application de telephones.
— Block. *Peinture à l'huile*, conseils pratiques.
— Borain. *Les énormités du libre échange anglais.*
— Blumerrincq. *Le passé de la Russie* depuis le temps le plus reculeés jusqu'a la paix de San Stefano.
— Collier. *Contes à rire* d'un nouveau genre.
— Dechamp. *La democratie et la reforme électorale* par la representation proportionelle.
— *Bibliographie general de l'astronomie* ou catalogue metohodique des ouvrages astronomiques publiés depuis l' origine de l' imprimerie jusqu'en 1880.
— Bourmont. *Manuel de paleographie.*
— Broglie. *Le posisivisme et la science experimentale.*
— Comte A. *Philosophie positive.* Resumé par J. Rig.
— Bardoux. *Etudes sociales et politiques.*
— Desjardins. *Traité du vol* dans les principales legislations.
— Lambert. *Etudes sur les associations syndicales.*

Literatura angielska. Conway. *Tomas Carlyle.*
— Symonds. *Renaissance in Italy*, italian literature.
— Davies. *Hindu philosohpy*, the Sankhya Karika of Iswara Krishma.
— Lillie. *Buddha aud early Buddhism.*
— Bouwick. *Our nationalities.*
— Cunningham. *India and its Rulers.*
— Beesley. *Sir John Franklin.*
— Hatton. *To day in America*, studies of the Old World and the New.
— Martin. *The Chinese*, their education, philosophy and letters.
— White. *England, without and within.*
— Arnold. *Indian poetry.*
— Mayor. *A Sketch of ancient phylosophy*, from Thales to Cicero.
— Ramliuson. *History of ancient Egypt.*
— Crowest. *Phases of musical England.*
— Fitzgerald. *Young Coelebs.* (London).
— Mallock. *A romance of the nineteenth century.* (London).

Literatura rosyjska. Departament poczt w Petersburgu wydał wielką mapę pocztową Cesarstwa Rosyjskiego z Królestwem Polskiem.

— W Petersburgu wyszedł pierwszy numer pisma p. t. *Corespondance universelle*, które wychodzić będzie codziennie pod redakcyą p. Korawina. Prenumerata roczna rzeczonego dziennika wynosi rs. 275. Redakcya ma głównie na celu dostarczać materyału do korespondencyi dziennikom rosyjskim. W prospekcie zwraca uwagę na zapewnienie współudziału zdolnych korespondentów we wszystkich ważniejszych punktach starego i nowego świata.

— Profesor Makuszew pomieścił w *Czasopiświe ministerstwa oświaty* rzecz *O południowo-ruskich podaniach*, według rękopisu znajdującego się w Bibliotece Ossolińskich we Lwowie.

— Juzow. *Russkie dissidenty*, siarowiery i duchownyje christianie.
— Smirnow. *Istoria anglijskoj etiki.*
— Berdnikow. *Gosudarstwennoje położenie religii* w rimsko-wizantijskoj imperii.
— Winogradow. *Pedagogiko-didakticzeskije sowiety.*
— Skworcow. *Ob organizmie gimnazii.*
— Byczkow. Otczet o dziejatielnosti wtorago otdielenia *imperatorskoj akademji nauk.*
— Werkowicz. *Weda sławian*, obriadnyja pieśni jazyczeskago wremeni.
— Modestow. *Wsieobszczaja istoria literatury.*
— *Pamiatniki drewnej piśmiennosti.*
— Juszkiewicz. *Litowkija narodnyja pieśni.*

— Pamiętniki Paska posłużyły p. Umancowi za materyał do napisania obszernego artykułu o Malorusinach w Polsce, pomieszczonego w *Istoriczeskim Wiestniku.* To samo pismo zawiera ciekawą rzecz o literaturze ukraińskiej przez p. Petrowa.

— Brafman, autor okrzyczanej książki *Żydzi i kabały*, pozostawił w rękopisie plan reformy żydów w Rosyi. Plan ten, opracowany przez syna neofity, pomieszczony został w czasopiśmie *Ruś.*

— Zotow, sekretarz redakcyi *Gołosu*, ogłosił drukiem *Historyę literatury powszechnej* w czterech wielkich tomach i opracował w swem dziele piśmiennictwo polskie nadzwyczaj sympatycznie, doprowadzając je aż do naszych czasów.

Nekrologia. Leopold Mikulski mag. pr. i adm. zmarł 1 listopada w Warszawie. Będąc współpracownikiem wielu pism, przyjmował żywy udział w ruchu tak zwanej „młodej prasy,“ pomieszczając artykuły ekonomiczne i prawne, spolszczył Büchnera *Siłę i materyę* (wspólnie ze St. Czarnowskim), ostatecznie był współwłaścicielem i sprawozdawcą politycznym *Kuryera Codziennego*. Był to człowiek prawdziwie wolnomyślny i do sprawy postępu szczerze przywiązany.

— W Karlsruhe d. 22 października zmarł nagle jeden z najznakomitszych współczesnych prawoznawców Jan Kasper Bluntschli, rodem szwajcar. Urodził się 7 marca 1808 r., kształcił się w uniwersytetach niemieckich. Ostatnio w r. 1861 wezwany do Heidelbergu objął tam katedrę i rozwinął działalność jako prawozawca i polityk. Liczba dzieł Bluntschlego jest ograniczona. Wielkiej wagi są jego pisma treści filozoficznej. Trzy dzieła o państwie nowożytnem są prawdziwemi skarbami wiedzy w tym przedmiocie. Najważniejszemi jego działami są: *Historya republiki Zurichu, Historya ogólnego prawa politycznego, Pojęcia azyatów starożytnych o Bogu i świecie, Nowożytne prawo wojny, Nowożytne prawo międzynarodowe, Teorya państwa nowożytnego* i wiele innych.

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

P. K. Kon. w Ulanikach. Właściwsze i naturalne miejsce artykułu pańskiego jako dalszego ciągu polemiki jest w *Gaz. Rolniczej.* Tam też odesłaliśmy rękopis.

OFIARY.

Reszta z rachunku p. H. B. dla biednych kop. 50. — Dla I. A. Malczewskiego od D., M. M., R. i S. rs. 8 kop. 50.

OGŁOSZENIA.

Szan. abonentów w Warszawie i na prowincyi upraszamy o natychmiastowe doniesienie nam o każdem opóźnieniu lub nieodbiorze PRAWDY. Pismo nasze wysyłane jest w Warszawie w sobotę i niedzielę każdego tygodnia, na pocztę zaś — w sobotę.

Prenumeratorzy „PRAWDY" otrzymują przy końcu każdego kwartału dodatek bezpłatny, składający się z sześciu arkuszy druku.

Sprostowanie. W artykule „Elektryczność w przemyśle“ zamiast *węglowodory* czyt. należy *węglowodany.*

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 23 Октября 1881 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. A. Świętochowski.